



650

~~1438~~



MINA. Akt II. Scena X.

J. P. ŻoŃkowski. [*in roli Schrap-sa*]

Ja?

Prace Dramatyczne T. II.

PRACE
DRAMMATYCZNE
J. S. JASIŃSKIEGO.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.

PRACE
DRAMMATYCZNE

TEUMACZONE I ORYGINALNE

J. S. JASIŃSKIEGO

A. D. T. W.

Tom II.

NAKŁADEM WYDAWCY.

W A R S Z A W A.

1838.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA

00-230 Warszawa, ul. Nowy Świat 77

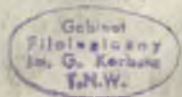
Tel. 26-68-63

<http://rcin.org.pl>

SPIS SZTUK

W TOMIE DRUGIM ZAWARTYCH.

1. *Mina* czyli *Córka Burmistrza*, Komedjo-Opera w dwóch aktach.
 2. *Teobald* czyli *Powrót*, Komedjo-Opera w jednym akcie.
 3. *Urząd i Żona*, Komedja w trzech aktach.
-



22963

M I N A

CZYLI

CÓRKA BURMISTRZA

KOMEDJO-OPERA WE DWÓCH AKTACH.

z Francuzkiego

PP: Dubert i Lauzanne.

MUZYKA JOZEFA DAMSE.



GRANA PIERWSZY RAZ NA

TEATRZE ROZMAITOŚCI

dnia 24 Listopada 1837 r.

O S O B Y.

MULNER, burmistrz	JP. <i>Szymanowski.</i>
MAX, oficer Sardyński	JP. <i>Giżewski.</i>
SCHNAPS, pasterz	JP. <i>Zółkowski.</i>
WILHELM, starzec, wieśniak	JP. <i>Smiałkowski.</i>
FRITZ, młody wieśniak	JP. <i>Hussakowski.</i>
MINA, córka Mulnera	JPa. <i>Daszkiewicz,</i>
ELŻBIETA	JPa. <i>Dobrzańska.</i>
Zołnierze.	

(Rzecz dzieje się w Szwajcarji, w pierwszym akcie na płaszczyźnie góry przy Martigny; w drugim w domu Mulnera w Martigny.)

M I N A.

A K T I.

(Scena przedstawia płaszczyznę na szczycie skały; wchodzi się na nią dwoma ścieżkami, w głębi będącemi za sceną, jedna z prawej, druga z lewej, i które prowadzą do doliny; w pierwszej kulisie na prawo, stara opuszczona chatka koźlarza; w pierwszej kulisie po lewej ulamek skały służący za siedzenie; w drugiej kulisie po obu stronach wyjścia prowadzące do innych części góry; w głębi na widokręgu wysokie góry)

SCENA I.

M I N A *(sama)*

(Kiedy orkiestra wykonywa przegrywkę następującej piosnki, Mina wchodzi ścieżką w głębi po prawej stronie, niesie koszyk z żywnością.)

SPIEW NRO 1.

Ileż zdarzeń mamy codzień,
Gdy w chatce są ładne lica,
Nie jeden sądzi przychodzić
Ze palaców blask zachwycić,

Cóż obchodzi mię ta mowa?

Złoto nie da szczęścia farb,

Gdy błysnie chwila godowa,

Mój mąż będzie mój skarb.

Nas złoto nie łudzi,

W miastach miłość budzi.

Nie, nie, nigdy dostatki

Nie przynęcisz serca z chatki;

Nie, nie, nie, twój błąd jedyny,

Chcieć zyskać darem serce Miny.

SCENA II.

MINA, MAX. (*wychodzą z drugiej kulisy po prawej,*)

MAX. (*z radością*)

To ona!

MINA. (*z radością*)

Ah!

M A X.

Mój anioł dobroczynny.

M I N A.

Tak późno przyszedłeś; myślałam że ci się jakie nieszczęście przytrafiło.

M A X.

Czyżby to być mogło, kiedy anioł czuwa nademną?

M I N A.

Masz, przyniosłam ci na cały dzień.

MAX (*bierze koszyk i niesie do chatki,*)

Więc zawsze dobra, zawsze uprzedzająca?

M I N A (*z wdziękiem*)

A gdybym cię opuściła, cóżby się z tobą stało, ponieważ ja tylko jedna z całego kantonu wiem, że na wierzchołku tej skały jest człowiek, który cierpi i który zdaje się mieć przyczyny ukrywania się przed oczyma wszystkich.

M A X.

I byłaś tyle wspaniałą, żeś podała opiekującą rękę nieznajomemu cudzoziemcowi?

M I N A.

Nieznanemu! oh nie! wiem dobrze kto jesteś.

M A X. (*żywo*)

Wiesz kto jestem?

M I N A. (*z wdziękiem*)

Jesteś wojskowym.

M A X.

To przyznaję.

M I N A.

W służbie Sardyńskiej, ja to widzę po ubiorze.

M A X.

Jako! moja śliczna opiekunko, gdyż nie wiem twojego nazwiska, więc to tylko że jestem woj-

skowym, potrafiło wzniecić twoje współczucie dla mnie? (*wesolo*) Wojsko Sardyńskie powinno chlubić się, że ma taką moc nad sercami.

M I N A.

Jesteś nieszczęśliwym, szukasz przytułku, widzę twoje cierpienia, czyliż więcćj potrzeba aby ci dopomódz?

MAX. (*z zapalem*)

Ale zaklinam cię, powiedz mi, komu winienem tyle starań i względów, niech przynajmniej imię twoje łączy się z myślami mojami.

M I N A.

I na cóż?

ŚPIEW NRO 2.

Kto towarzyszką twojej niedoli

Że to zamilczę, nie przypisz dumie;

Bo gdy cię szukać czas nie dozwoli,

Serce cię łatwo wynaleźć umie.

Sam tedy widzisz losów zrządzenia,

Ja znam twe czucia, a ty znasz moje;

Aby o sobie myśleć oboje

Nie potrzebujem szukać imienia.

M A X.

Jesteś bardzo dobre dziecko, i kto cię poślubi, będzie miał najlepszą żonę z całego kantonu.

M I N A.

Słyszę kogoś... oddał się... a jeżeli będziesz potrzebował mojej pomocy, daj znak umówiony, przybiegnę, jeżeli będę mogła... rozumiesz mnie? Bywaj zdrów!

(Mina wychodzi w drugą kulisę na lewo, Max na prawo.)

SCENA III.

MULNER, WILHELM.

(Wchodzą z głębi po prawej.)

W I L H E L M.

Odważnie, panie Mulner, już tylko jeden krok...

M U L N E R.

I poznałeś go?

W I L H E L M.

Ubior, ale nie osobę. Był zbyt daleko, abym mógł twarz jego zobaczyć, widziałem go, drapał się na skałę tak szybko jak koza, a potem znikł.

MULNER. *(wzdychając)*

Szczęśliwe te kozy! I jesteś pewny, że on porwał córkę twojego pana, mojego biednego. Ulryka?

W I L H E L M.

Na nieszczęście nie możemy wątpić o tem. Tak jak wielu ojców, tak i on nie pomy-

ślał o niedoświadczeniu swojego dziecięcia. Jednakże zajmował się wydaniem jej za mąż, narzeczony bywał w domu Pana Ulryka; ale zdaje się, że naszej panience nie bardzo przypadł do gustu. Wtenczas to Max, oficer, którego szukamy, przyjechał za urlopem do naszej doliny Chamouny.

M U L N E R.

I pewno potrafił zająć serduszek dziewczęcia, to jasno.

W I L H E L M.

Jednego wieczora, Pan Ulryk, posłał swoją córkę do ogrodu, będącego na pochyłości góry blisko jego mieszkania; Pan narzeczony chciał towarzyszyć swojej przyszłej, aby mógł mówić z nią o miłości... Noc się zbliżała, nasza młoda pani nie wraca. Pan Ulryk i ja, przejęci niespokojnością, poszliśmy szukać na wierzchołku skały, postrzegamy tego, którego mój pan chciał nazwać swoim zięciem, rozciągniętego na ziemi i zbrozonego we krwi.

MULNER (*z przestachem*)

Zabity?

W I L H E L M.

Na szczęście nie. Max, zapewne uniesiony szaloną zazdrością, wyzwał go na pojedynek i ra-

nił. Ale nasza młoda pani nie wracała, a Max opuścił kraj. Po wielu wybadywaniach, mój pan dowiedział się, że tu uciekli. Wtenczas odezwał się do mnie: idź do mojego dawnego kolegi Mulnera, jest burmistrzem, ma jakąś władzę. Opowiedz mu moje cierpienia, a jeżeli będzie mógł to mi dopomóż. Teraz wiesz Pan wszystko.

M U L N E R.

Słusznie że liczył na moją pomoc. Ale powiedz mi, nie widziałeś z tym nieznajomym dziewczęcą?

W I L H E L M.

Nie; ale kilku wieśniaków, których umyślnie na czatach zostawiłem, aby go pilnować, zapewniało mię, że widzieli kilka razy kobietę, która znikła wraz z Maxem, ilekroć zbliżano się ku tej stronie.

M U L N E R.

To wybornie! A więc idź prędko... zapewnij się gdzie są ukryci, i wróć mię o tem uwiadomić, a będę na twoje usługi wraz z całą siłą zbrojną z Martigny.

W I L H E L M.

Zdaję się na pańską pomoc. (*idzie w głąb sceny.*)

MULNER (*przywołując go*)

Ale! ale... jeżeli wróciwszy do mnie, zastaniesz
moją córkę, nie powiadaj co cię tu przywodzi...
Bo to widzisz... takie rzeczy... te miłostki... por-
wania... te uwiedzenia... to się podoba..(*postrze-
gając Minę w drugieej kulisie po lewój*) Mina!

SCENA IV.

MINA, MULNER, WILHELM.

MINA. (*zdumiała*)

Mój ojciec!... (*chwilę zostaje w głębi.*)

M U L N E R.

A to jak się stało, że ty jesteś z tej strony góry?

MINA. (*zmieszana*)

Mój ojciec..., bo to... bo to...

M U L N E R.

I cóż?

M I N A.

Przyszłam... myślałam, że tu kazałeś przypę-
dzić owce.

M U L N E R.

Przecież ty sama mówiła mi wczoraj, abym
tego nie czynił.

M I N A.

Ah prawda, zapomniałam.

MULNER. (*uśmiechając się*)

Otóż to twoja głowa (*do Wilhelma z zado-
woleniem*) To moja córka, moja jedynaczka!...

W I L H E L M.

Panie Mulner, winszuję ci (*Mina kłania się*).

M U L N E R.

Dobra, kochasz swojego starego ojca, ale... roz-
trzępana jak motylek, (*do Wilhelma*) Spiesz nie
trać czasu, nie będę dopóty spokojny, dopóki
nie będą w naszych rękach.

W I L H E L M.

Oh, żeby to jak najprędzej.

M I N A. (*n. s.*)

Można poznać z ich twarzy, że mają jakąś ta-
jemnicę. (*Mulner odprowadza Wilhelma, który
wychodzi drogą w głębi na prawo.*)

SCENA V.

MINA, MULNER.

M I N A.

Kto jest ten pan Wilhelm?

M U L N E R.

Człowiek którego nie znasz.

M I N A.

Właśnie dla tego pytam się...

MULNER. (*jąkając się.*)

Jest to... dyplomatyk... botanik... któremu ra-
da berneńska... poleciła przybyć tu... na nasze
jeziora... w celu czynienia... postrzeżeń... astro-

onomicznych... (*z gniewem*) Ale nie wiem, z jakiej przyczyny zadajesz mi te pytania, to nie należy do młodych dziewcząt, to do moich obowiązków burmistrza.

M I N A.

Otóż to tak zawsze, ile razy tylko chcesz ukryć coś przedemną, zawsze ta sama piosnka. (*naśladuje gę*) To należy do moich obowiązków burmistrza.

M U L N E R.

Bezwątpienia, że to do mnie należy jak najbardziej.

M I N A.

A więc nigdy nie wiedzieć nie będę; zostanę zawsze, jak to często powtarzasz, głupią dziewczyną... dziewczyną...

M U L N E R. (*rozgniewany*)

Powiedz mi, czy ty chcesz być burmistrzem na mojem miejscu? (*czyni poruszenie jakby chciał zdjąć płaszcz.*)

M I N A.

Mój ojciec, o tem wcale nie mówię... ale na koniec...

M U L N E R.

Zamiast zadawania mi pytań... politycznych, lepiejbyś zajęła się tem, żeby rozweselić cokol-

wiek twojego przyszłego... twojego kuzynka Schnapsa.

M I N A.

Mojego kuzyna?... Ah... tak, zapomniałam, że moim przyszłym jest dziwak, gdyracz, człowiek, który się nigdy nie śmieje, który wpadł w gniew od pierwszego dnia urodzin, i który jeszcze się nie uspokoił od 25 lat jak jest na świecie.

M U L N E R.

Otóż to przesada... On dopiero stał się smutnym od czasu kiedy zdajesz się nie dbać o niego; ale cię upewniam, gdybyś go chciała rozweselić cokolwiek... byłby... bardzo zabawnym... Nie znajdziesz nigdzie chłopca tkliwszego, więcej uprzedzającego, więcej oddanego tobie... Czy wiesz, że przed tygodniem żelżył mię?

M I N A.

Jakto?

MULNER. (*głosem wzruszonym*)

Pocziwy chłopiec! Wiesz dobrze, że w zeszłym tygodniu udałem się do Sion, że tam przepędziłem dwa dni, aby otrzymać potrzebne papiery do twego połączenia się z Schnapsem. Wracalem, zimno było dojmujące, góra przw-
kra, szczególnie dla mnie; noc nadeszła. Wiatr

Tom II.

2.

łamał sosny, i nie bardzo byłem spokojny, kiedy o mile ztąd przy wejściu do wielkiego parowu, znajduję...

M I N A.

Kogóż?

M U L N E R.

Mojego dobrego Schnapsa, który czekał na mnie w miejscu, gdzie się schodzą dwie drożyny do Sion prowadzące; po kolana prawie w śniegu, przeziębnięty, nieledwie na pół umarły z zimna. Cóż ty tu porabiasz? Czekam tu dla tego, odpowiedział mi, trzęsąc się cały, aby ci nie pozwolić przejść tędy. Myśląc, że ten chłopiec mówi w gorączce, chcę iść dalej... on mię łapie za płaszcz, obwija w niego jak w powijak dziecię, bierze na plecy i wraca się ze mną... (*z wybi-
ciem*) On jest bardzo mocny!

M I N A.

Ale cóż za dziwna myśl!

M U L N E R.

Krzyczałem jak szalony, a on szturgając mię pięściami, wołał: Cichoż bądź stryjasku, czy-
liz nie wiesz, że w tem miejscu najmniejsze wzru-
szenie powietrza może zaspy śniegu na nas spro-
wadzić?...

M I N A. (*baczniej*)

Prawdę mówił!

M U L N E R.

Nagle, straszliwy łoskot dał się słyszeć.

M I N A.

Oh Boże!

M U L N E R.

Ogromny odłam skały stacza się z hukiem właśnie w to miejsce, gdzie znalazłem Schnapsa.

M I N A (biorąc ojca za rękę z wzruszeniem).

O mój dobry ojczy, jakież ci zagrażało niebezpieczeństwo!

M U L N E R. (wzruszony)

Wtenczas stawia mię spokojnie na ziemi i rzecze: He!... słyszałeś stryjasku?... dziś rano widziałem, że ta skała groziła upadkiem, dla tego nie chciałem ci pozwolić przejść... A on biedny chłopiec czekał na mnie trzy godziny, przejęty zimnem, w miejscu tak niebezpiecznem, (płacząc) jak psy z góry Sgo Bernarda.

M I N A.

Dobry, poczciwy kuzyn! Ale ojczy, ty mi nie o tem nie mówiłeś!

M U L N E R.

On mi nie kazał powiedzieć, i byłbym zamilczał, gdybym z boleścią nie widział wstrętu jaki masz do niego...

M I N A.

Wstrętu! ja... oh nie, nie mój ojciec, szanuje go... kocham bardzo Schnapsa... a ponieważ mam go zaślubić, dobrze, kiedy zechcesz mój ojciec; widzisz więc, że nie mam do niego wstrętu.

MULNER. (*z radością*)

To pięknie!... otóż to się nazywa mówić!... za kilka dni cała rzecz skończona.

M I N A.

Tak prędko?... cóż tak pilnego? zaczekajmy kilka tygodni, kilka miesięcy mój ojciec, cóż ci na tem zależy?

M U L N E R.

Co mi zależy? wiele mi zależy!... Wiesz dobrze, że twój stryj Werner umierając nie chciał podzielić swojego majątku..., jeżeli odmówisz, Schnaps wszystko odziedziczy... Widzisz tedy, do kroćset katów co mi na tem zależy... trzeba o tem myśleć.

M I N A. (*obojętnie*)

Ja nie dbam o pieniądze!

M U L N E R.

Ale ja dbam; pomyśl, że stawiasz Schnapsa w przykre położeniu; on jest delikatnym i kocha cię, a ty go zasmucasz... (*patrzy w głąb na*

lewo) Otóż on, obchódź mi się z nim grzeczne, rozumiesz?

M I N A.

Zawsze mię śledzi.

M U L N E R.

Bo cię kocha...

SCENA VI.

MINA, MULNER, SCHNAPS. (*pałac fajkę wchodzi z głębi z lewej strony.*)

SCHNAPS (*ukazując się do połowy, n. s.*)

Ah przecież ich zdybałem na tej skale.

MULNER. (*do Schnapsa*)

Co ty u diabła robisz z tej strony góry?

SCHNAPS. (*spokojnie w głębi*)

Wiatr jest na burzę, kazałem owce pozapędzać do domu.

M U L N E R.

Ja cię pytam co ty tutaj porabiasz. Czy wszyscy to miejsce obrali sobie na schadzkę?

SCHNAPS. (*patrzac na Minę z znaczeniem.*)

Zdaje się. (*do Mulnera*) Wiatr jest na burzę; kazałem pozapędzać owce... a potem, wiem dobrze, że zejście z tej strony jest bardzo przykre, i kiedy nie ma kogoś żeby nas wsparł...

M U L N E R.

I przyszedłeś tu mnie szukać.

2**

S C H N A P S.

Was albo kogo innego, mniejsza kogo (*n. s. patrząc na Minę*) Nie powie mi ani słowa!

M U L N E R.

Dobrze uczyniłeś, ale nie potrzebuję twojej pomocy... wracam do Martigny, mam interes... (*cicho do Schnapsa*) Staraj się być wesołym, młode dziewczęta lubią wesołość; a kiedy kto chce im się podobać, nie powinien być podobny szlafmocy.

S C H N A P S.

Ja nie mogę skakać jak koza, ani tańczyć kiedy nie mam chęci; to tylko niedźwiedzie tak głupio postępują.

MULNER. (*cicho do Miny*)

Widzisz jak ten biedny człowiek jest pomieszany. Zapewnij go... no!... powiedz mu, że wasze małżeństwo niedługo się odbędzie; jak się o tem dowie z twoich ust, to go ucieszy; powiedz mu.

M I N A.

Mój ojciec...

MULNER. (*cicho do Schnapsa*)

Ona ci ma coś powiedzieć względem małżeństwa... wkrótce... niedługo...

SCHNAPS. (*zdziwiony z radością*)

Ba!...

MULNER. (*Oddalając się w głąb na prawo, z postacią zadowolenia i patrząc na nich.*)

Tak, tak, tak. (*Schnaps idzie za nim aż do ścieszki, potem wraca do Miny nieco wzruszony*)

SCENA VII.

MINA, SCHNAPS.

SCHNAPS. (*zbliżając się trwożliwie.*)

Mino... czy to prawda... że masz mi coś powiedzieć.

M I N A.

Ja, mój kuzynie? (*czyni poruszenie zaprzeczające.*)

S C H N A P S.

Ale bo twój ojciec mi mówił... ale on się pewno omylił, ten pocziwy człowiek... pocziwi ludzie bardzo się mylą.

MINA. (*z przymusem*)

Ah! wiem... względem... naszego związku.. tak... trzeba o tém pomyśleć.

SCHNAPS. (*miarkując swoją radość*)

Ah Boże, jeżeli chcesz Mino...

M I N A.

I... wyznaczyć dzień kiedy się odbędzie.

SCHNAPS. (*żywo*)

Ah! tak! tak! (*n. s. z wielkiem wzruszeniem.*)

O Boże!

M I N A.

A więc... na przyszłą wiosnę.

SCHNAPS. (*zdumiały, policzwszy na palcach.*)

Za ośm miesięcy!... (*z żalem n. s.*) Ja sobie też mówiłem...

M I N A. (*z szczerotą*)

Albo później, jeżeli ci się to nie podoba... ja zaczekam... mnie nie nie nagli.

S C H N A P S.

Widzę to dobrze (*po pauzie, głosem wzruszonym.*) Mino, byliśmy razem wychowani jak brat i siostra... myślałem, że masz dla mnie cokolwiek przyjaźni... wiem, że są twarze bardziej przyjemne jak moja... (*Mina czyni poruszenie jakby go zapewnić chciała, on przerywa nagle*)

Są, są, ja wiem o tem, nie sprzeczasz się o to ze mną; lecz ja myślałem, że mimo tego masz trochę ufności we mnie, ponieważ przy mojej szpetności jestem uczciwym chłopcem, a widzę, że ty masz jakieś tajemnice (*z czuciem*), a to mnie boli... Mino, oh, to mnie bardzo boli.

M I N A.

Mój kuzynie, mylisz się.

S C H N A P S.

Oh nie... mój stryj umierając pragnął naszego połączenia, zezwoliłaś na to... zezwalasz jeszcze nato... a jednakże myślisz, że nie mogłabyś być szczęśliwą ze mną... nie kochasz mię.

M I N A.

Ja? mógłżebyś mniemać?

S C H N A P S.

Oh nie broń się!... tyś temu nie winna, to nie jest w naszej mocy... to ja nie umiałem się wziąć do tego jak potrzeba... (*starając się uspokoić wzruszenie*) a jednakże bardzo się starałem!

M I N A.

Gniewasz się na mnie?

S C H N A P S.

Czyż ja mogę gniewać się na ciebie? (*żywić*) Ale należało mi powiedzieć otwarcie, nie trzeba było pozwalać mi wierzyć w to co nie jest.. bo gdybym był się nie postrzegł, oh, to przykro powiedzieć, gdybym się był nie spostrzegł, że ty mię nie kochasz, byłbym się z tobą ożenił i byłabyś nieszczęśliwą całe życie. (*z wyrzutem, głośniej*) Ah, ty nie pomyślałaś o tém?... (*wzruszony*) Mino! to źle! nie mieć tak zaufania w twoim kuzynie!

MINA (*zdziwiona*)

To co powiedziałeś, tak mię zadziwia... zdumiewa! Ale testament naszego stryja...

S C H N A P S.

Zniewala cię wziąć mię za męża?... albo też ustąpić mi część twojego dziedzictwa. Mój biedny kochany stryj, myślał że tak można zapisać komu serce jak folwark... (*z gniewem*) Ah gdyby on nie umarł, jużbym ja to ułożył! (*dobrywa papiery z kieszeni*) Mino; weź, to jest testament... to są wszystkie papiery dotyczące się naszego małżeństwa, podrzeź je, rzuć w ogień, zrób z niem¹ co ci się podoba, nie chcę ich więcej mieć przy sobie... one palą moje serce.

M I N A.

Jako ty chcesz?

SCHNAPS (*z dobrocią*)

- Weź je, weź. (*Mina bierze.*)

SPIEWKA NRO 4.

Tu są uczucia wyższe nad życzenia,
Choć mię testament za męża ci daje,
Dziś jedna chwila to wszystko odmienia,
Już moje prawo do ciebie ustaje.

Zniszcz je, a duszę radość rozweseli,

Gdy się pozbywasz takiego zamęźcia,

I moje serce twoją rozkosz dzieli,

Chociaż dla ciebie wyrzekam się szczęścia!

A jednakże, jeżeli kiedyś zmienią się twoje myśli, i przypomnisz sobie że ci został kuzyn... podaj mi rękę... tak, podaj mi rękę już ja będę wiedział co to znaczy.

MINA (z słodyczą)

Dobrze (*n. s.*) biedny chłopiec długo czekać będzie (*głośno starając się odmienić rozmowę*)
Więc jedynie dla oddania mi tych papierów przyszedłeś mię szukać?

SCHNAPS (*n. s.*)

Udaje jakby nic nie rozumiała. (*głośno*) Dla tego jedynie... i dla innej rzeczy jeszcze, której nie chcę powiedzieć, ponieważ... (*okazuje znaki nieukontentowania.*)

M I N A.

Wiedziałeś więc, że mię znajdziesz z tej strony góry?

S C H N A P S.

Do kroćset katów, kiedy nie jesteś w domu, można być pewnym, że cię tu znaleźć można!...
Pasterz ma dobre oczy.

MINA (*obojętnie*)

Tak, ta strona mało jest uczęszczaną, a ja lubię samotność.

SCHNAPS (*n. s.*)

Samotność!... (*do Miny z ironją*) Samotność?

M I N A.

A potem na pochyłości tej skały, rosną najpiękniejsze róże... a to jest mój kwiat ulubiony.

S C H N A P S.

SPIEW NR 4.

Gdy twego serca doznałem straty,

Przecież przyczyna mdła,

Że na tę górę tylko po kwiaty

Chodzisz każdego dnia.

(*Mina daje znak, że tak.*)

Tym nie uwiedzisz kuzyna twego,

Oleju nie brak mu,

(*bierze jej rękę z gniewem.*)

Ty żołnierzy Króla sardyńskiego

Przychodzisz zbierać tu.

MINA (*sawstydzona*)

Co to ma znaczyć? ty śledzisz moje kroki?

S C H N A P S.

Nie ja, to moje oczy, to ich zatrudnienie.

M I N A.

Szkaradne oczy!

S C H N A P S.

Szkaradne, to prawda; ale dobre i widziały...
Już piętnaście dni jak żywisz tę istotę. Ale dokąd cię to doprowadzi?

M I N A.

Jakto? tybyś sądził?...

S C H N A P S.

Ale co chcesz z niego uczynić? A te butelki
wina reńskiego?... ta sławna szynka, którą co-
dziennie ukrywasz w twoim koszyku?

M I N A.

Upewniam cię...

S C H N A P S.

Młoda panna zapewne dla swojej potrzeby
nie zabiera butelek z winem... Jest ktoś co je
wypróżnia!

M I N A.

A więc prawda... Jest to tajemnica, która mi
cięży i chcę mieć powiernikiem mojego przy-
jaciela, wszystko ci powiem. Jest to biedny
wojskowy.

SCHNAPS. (*przerywając z gniewem*)

I to mię wybierasz do tego... Nie, ja nie chcę,
nie chcę nic wiedzieć...

Tom II,

3.

M I N A.

Ale...

SCHNAPS. (*z mocą*)

Proszę cię, zatrzymaj to przy sobie! Jedna rzecz tylko, kochasz go?... (*spokojnie*) Nie obawiaj się! powiedz mi to, czy go kochasz?

M I N A.

Dla czego?

SCHNAPS. (*mocno*)

Ponieważ... eh co tam... czy kochasz go?...

M I N A. (*uśmiechając się*)

Będziesz zazdrosnym?

SCHNAPS. (*po chwili*)

Nie!... będę się starał kochać go także... ale jeżeli go nie kochasz!...

M I N A.

To co?

SCHNAPS. (*z mocą*)

To go pochwyć w pół i stoczmy się obajak dwie zaspę śniegu w pierwszą lepszą przepaść.

M I N A. (*z żywością*)

Wielki Boże!

SCHNAPS. (*mocniej*)

Kochasz go?... powiedz.

M I N A. (*prędko z obawy jak mimochętnie*)

Schnaps, jeżeli masz cokolwiek dla mnie przy-

jażni (*miarkując się*) nie będziesz szukał kłótni z tym biednym wojskowym, słyszysz mnie?

SCHNAPS. (*z uległością*)

A więc dobrze (*tonem wściekłym*) Ah do kroć set skal! gdyby mój stryj nie umarł, ja bym to był ułożył.

M I N A.

Widzisz, jeszcze się gniewasz?

SCHNAPS.

Tyś temu winna. Nie chciałem o tem mówić, tyś mię na trop wprowadziła... Smutne rzeczy przewiduję!... tak, ehę, tak! przewiduję straszne rzeczy!...

M I N A.

Uspokój się mój przyjacielu.

SCHNAPS. (*z goryczą*)

Jej przyjaciel!... Ah, żeby się dowiedzieć, co ta pleć ma w duszy, chciałbym być kobietą przez dziesięć minut (*z oburzeniem*) więcej nie!... być kwadrans, to za wiele!

M I N A.

Muszę wrócić. Słuchaj, potrzebuję twoich rad, ty mi nie odmówisz?

SCHNAPS. (*z mocą*)

Ja?... kiedy powinnabyś się wstydzić twojego,

postępowania. Tobie nie odinówić rad?... tobie, kiedy nie powinnaś była nogą stąpić tutaj!

M I N A.

Jakto!

SCHNAPS. (*j. w.*)

Dla niego?... którego trzeba było opuścić.

M I N A.

Opuścić!

SCHNAPS. (*bardzo rozjątrzony*)

Chcesz rad!... ani takiej nawet (*pokazując*) ani najmniejszej! Nie! karm sobie tego włóczęgę! Tego krwiożercę! Nie! to za mało!... tego dzikiego człowieka! Tak, dozwolę ci zgubić się!

M I N A. (*n. s.*)

Zgubić się?

S C H N A P S.

Nie! pozwolę ci wprowadzić w rozpacz twojego ojca.

M I N A.

Mojego ojca... (*oddala się, Schnaps ściga ją swoim przekleństwem.*)

S C H N A P S.

On jest dosyć otyły, ale umrze bardzo dobrze ze zgryzoty.

M I N A.

Oh nie, już tu nie wrócę nigdy! (*wychodzi ścieszka w głębi po prawej*).

S C H N A P S.

Pozwolę ci pielegnować tego bandytę!

SCENA VIII.

SCHNAPS. (*sam*)

Człowieka, który może w pięćdziesięciu miejscach w Sabaudji ogień podłożył, (*wraca na scenę*) który mordował biedne małe dzieci szesćcio-tygodniowe, kto to może wiedzieć? to nikczemnie! Dla czego on opuścił Króla sardyńskiego, ten człowiek, he?... dla czego będąc Sabaudczykiem nie poszedł do Francji pokazywać żywego świerszcza; jest to przemysł bardzo dobrze widziany i protegowany w tym kraju!... zamiast iść do Szwajcarji i rozkochać młodzież.

Ah drzę z gniewu... doświadczam... hu! ha!.. To się musi skończyć... weisnę się w jaką dziurę tu gdzie niedaleko, a jak będzie blisko mnie przechodził... (*Max ukazuje się w głębi, Schnaps go spostrzega*) Ha! (*kryje się na chwilę po lewój, i przygotowuje się wpaść na Maxa*).

SCENA IX.

SCHNAPS.. MAX (*nie widząc Schnapsa wchodzi z drugieój kulisy z praweój strony.*)

M A X.

Nie wraca! nudzę się sam; powiedziała mi, że-

był się odezwał na tym rogu, kiedy ją będę widzieć. Korzystajmy z tego sposobu. *(odzywa się kilkakrotnie na trąbce, odwracając się ku stronie doliny).*

SCHNAPS. *(n. s. zdziwiony)*

On trąbi! *(z gniewem)* Ale on trąbi!... *(odkłada mankiety z miną groźną, nagle zmieniając ton)* Nie,... ja rozważam!...

MAX. *(postrzegając Schnapsa)*

Jakiś wieśniak, młejmy się na haczność!...

SCHNAPS. *(idzie w głąb, bierze za rękę Maxa i przymusza go zejść na przód sceny, przyprowadziwszy go, mówi opryskliwie)*

Kochasz ją?

M A X.

Kogo?

S C H N A P S.

Minę!

M A X.

Któż jest ta Mina?

S C H N A P S.

Ta, która cię żywi!

MAX. *(z radością)*

Wiec ją Miną nazywają? Dziękuję ci kolego! *(bierze go za rękę.)*

SCHNAPS. (*usuwając gwałtownie rękę*)

Ja nie jestem niczym kolegą! kochasz ją? tak lub nie?

MAX. (*śmiejąc się n. s.*)

A to dziwny człowiek!... Ale w mojem położeniu nie mogę się gniewać.

SCHNAPS. (*z groźbą*)

Ostatni raz, kochasz ją? odpowiadaj!... kroć set!... hom!... um...

M A X.

Czy ją kocham?... Mój dobry przyjacielu, ona jest dla mnie obrazem anioła na ziemi.

SCHNAPS. (*zdziwiony*)

Ba!

M A X.

Ona dla mnie przebywa te niedostępne skały, i umarłbym z głodu w tych miejscach tak przechwalonych dla kóz, gdzie natura tak hojna jest dla zwierząt, a tak skąpą dla ludzkości.

S C H N A P S.

I to.. natęmięło cię miłością dla niej?

MAX. (*prędko*)

Miłością? nie!... wdzięcznością!

SCHNAPS. (*uradowany*)

Jakto?!... ah waleczny panie wojskowy! więc

nie odpłacasz jej wzajemnością? (*n. s. opuszczając zawinięte mankiety w górę*) Dobrzem zrobił, że natychmiast karku mu nie nadkręcił.

M A X.

Wzajemnością?... Miałaby ona mnie kochać?

SCHNAPS. (*prędko*)

Eh gdzie tam! ja tego nie mówię (*n. s.*) Czy kto widział kiedy podobne głupstwa, jakie ja wyrabiam.

MAX. (*płoch*)

Ale tak!... przypominam sobie te starania, te względy... ta usilność, aby mi być przyjemną, (*do Schnapsa*) Ty mi narzucasz myśl!...

S C H N A P S.

Jakto! ja mu narzucam myśl!...

M A X.

To niesłusznie, aby ta biedna dziewczyna kochała sama tylko, a ponieważ mię kocha...

SCHNAPS. (*prędko*)

Ale nie! Otóż mamy! czy kto kiedy... Ale nie! nie kocha! nie!

M A X.

Do kata, to będzie przyjemna chwila rozrywki. Jakże się cieszę że cię napotkał!

SCHNAPS.

Żołnierzu!... miałabyś tę niegodną śmiałość,
wierzyć temu co ci powiedziałem, tak na wiatr.

MAX. *(nie słuchając)*

Ale wiesz, że ona jest bardzo ładna!

SCHNAPS. *(w rozpaczy)*

Ale Panie, Jaśnie Wielmożny Panie! on nie
myślał o tem. Cóżem uczynił najlepszego?...
byłbym lepiej zrobił gdybym był złamał rękę,
albo nogę... jemu!

MAX. *(chcąc go wziąć za rękę)*

Jesteś moim dobroczyńcą.

SCHNAPS. *(z gwałtowném poruszeniem)*

Nie dotykaj mię do kroćset! hm! *(n. s.)* A ja
przysięgam jej, że go puszcę bezkarnie, że
się nie rzucę na niego! Ah, ja mieszkaniec gór
taki głupi! *(uderza się mocno w kieszę)* Otóż
mamy, stłukłem fajkę! O, mieszkaniec gór!
chciałbyś teraz złapać którego z nich!... *(odda-
ła się głębia, okazując znaki gniewu)* Ja nie
wiem... ale... ha!...

SCENA X.

MAX. *(patrząc za oddalającym się Schnapsem)*

Co jemu jest, temu oryginałowi? Zdaje się

być nie bardzo kontent. (*rozważając*) To co mi powiedział... Jakto! moje niebezpieczne położenie nie przestraszyło tej dziewczyny?... Oh! to wybornie! (*po chwili*) Ale to nie Elżbieta! (*z boleścią*) Elżbieta! zdradziła mnie!... Ale oddalmy to okropne wspomnienie, które mię zmusza unikać Sabaudji i tu się ukrywać. Jednakże na zawsze w tych górach pozostać nie mogę. (*Mina ukazuje się w głębi, przychodzi ścieszka z prawej.*) Temu lubemu dziecięciu sprzykrzy się opiekować mną... a wtenczas...

SCENA XI.

MAX, MINA.

MINA. (*która się zatrzymała w głębi, głosem wdzięcznym.*)

Czy tak sądzisz?

M A X.

Byłaś tu?

M I N A.

Przybywam i słyszałam, żeś powątpiewał o mnie.

M A X.

Ah przebacz, przebacz mi,

M I N A.

Jednakże miałeś prawie słuszność. Tak... od

dzisiaj rana tysiące myśli mię obciąża (*n. s.*) to co mi powiedział mój ojciec... i rozsądne rady kuzyna (*zamyśla się.*)

M A X.

Cóż to?

MINA. (*naiwnie z prawdą*)

Wyznam ci, już tu nie chciałam przyjść więcej.

M A X.

Widzisz tedy!

MINA. (*łagodnie*)

Ale usłyszałam twój znak i sądziłam, że mię potrzebujesz.

M A X.

Miałem szczęśliwe natchnienie.

MINA. (*żywo, niewinnie*)

Czy długo dałam na siebie czekać?

MAX. (*z duszą*)

Zbyt długo! zawsze zbyt długo!

MINA. (*j. w.*)

A jednak biegłam co miałam sił.

M A X.

Mimo droga!

MINA. (*prędko*)

Wiesz jak się nazywam?

M A X.

Dowiedziałem się od wieśniaka, prawdziwego niedźwiedzia Alp...

M I N A.

To Schnaps! Jego nie mam się co obawiać; ale gdyby inni dowiedzieli się co mię tu sprowadza, cóżby pomyślano? Widzisz więc, że nie powinnam już tu przychodzić.

MAX. (z prawdą)

Tak, prawdę mówisz.

M I N A. (*figlarnie*)

Ale jeżeli narażam się na wstyd, przychodząc tu na górę odwiedzić cię czasem... nie byłoby tego niebezpieczeństwa, gdybyś mógł znaleźć schronienie w Martigny.

M A X.

W Martigny?

M I N A. (*j. w.*)

Proś o gościnność mojego ojca.

M A X.

Tak myślisz?

M I N A. (*z naiwną radością*)

Ten projekt teraz mi wpadł do głowy. Pójdź!

M A X.

Zyczliwość twoja przenika mię wdzięcznością, ale ja nie mogę.

M I N A. (*z pewnym rodzajem powagi dziecinnej*)

Oh! ja chcę!

(*Słychać w oddaleniu odgłos trąbki, która stanowi przegrywkę następnej piosnki.*)

MAX. (*przysłuchawszy się cokolwiek*)

Zwołują trzody!... Już!... Mino! opuścisz mię!

SPIEW Nro 5.

M I N A.

Błądząc sam, bez towarzyszy,

Noc jest smutną wpośród skał,

Nikt nie przerwie tęsknej ciszy;

Zawsze dzień widzieć chciał.

Ah pójdź do ojca skromnej zagrody,

Tam ci zabłyszczą chwile swobody.

Ah pójdź, ah pójdź tam proszę,

Tam znajdziesz pokój, szczęście, rokosze!

Pójdź panie żołnierzu, mój ojciec cię przyjmie. Powiesz mu: byłem zbiegiem, twoja córka ulitowała się nademną. Ja go uściskam; on mi przebaczy, poda ci rękę, a potem... (*zatrzymuje się zawstydzona.*)

MAX. (*prędko.*)

A potem?

MINA. (*pomieszana, skromnie*)

A potem... my... zobaczysz!

MAX. (*biorąc jej rękę*)

Mino!... (*n. s. z postanowieniem*) Dosyć tego,
Tom II.

kiedy to staje się ważniejszem, nie trzeba myśleć nawet... Niosę nieszczęście tym, którzy mnie kochają,

M I N A.

No i cóż?... (*bierze go za rękę i patrzy mu w oczy*) No i cóż?...

MAX. (*z wysileniem*)

Nie mogę pójść z tobą.

M I N A. (*z gniewem*)

Jako! odmawiasz, to bardzo źle Mości panie, bardzo źle!

M A X.

Przyczyny, których nie możesz ocenić...

M I N A. (*z gniewem i postanowieniem dziecinnym*)

Oh! ja znajde sposób przymuszenia cię, abys przyszedł do Martigny. (*wzruszona*)

MAX. (*usiłując ją uspokoić*)

Ale... mój Boże... chciałbym za wszystko na świecie...

SCENA XII.

MAX, MINA, SCHNAPS. (*wbiegając żywo z lewej strony, niesie pod pachą płaszcz z sierści koziej.*)

SCHNAPS. (*przybiegając do Miny z przestraszeniem.*)

Uciekaj! uciekaj!

M I N A.

Cóż to?

S C H N A P S.

- Ta skała jest otoczona do koła!

M I N A.

Otoczoną!

M A X.

Z jakiego powodu?

S C H N A P S.

Pan Mulner zaraz tedy przybędzie aresztować żołnierza Króla Sardynji.

MAX. (*z mocą*)

Mnie?

M I N A.

O nieba! uciekaj panie, chroń się!

S C H N A P S.

Niepodobna! cała siła zbrojna z Martigny jest tu.

M A X.

Ktoś mię doniósł! Ty tylko jeden mogłeś być sprawcą tego, nikt mię więcęj nie widział.

SCHNAPS. (*wściekły*)

Żołnierzu! nie powtarzaj coś wyrzekł, bo się rzucę na ciebie!

MINA. (*do Maxa*)

On jest niezdolny do tego.

SCHNAPS. (*z groźbą*).

Rzucić się na niego!

MAX. (*żywo*)

Przenikam powody... On cię kocha.

M I N A.

Kuzynie, to byłaby haniebną zemstą.

SCHNAPS. (*pomieszany*)

Ona wierzy temu! (*coraz żywiej*) A więc, wierz temu! pogardzaj mną jeżeli chcesz; ale na miłość Boga, niech cię tu nie spostrzegą. Wiedziano mię że tu biegł sam. Słyszę już głosy. Jeżeli cię znajdą tu... z nim...

M I N A.

Prawdę mówi! Co zrobić? gdzie się ukryć?

M A X.

Tam w tej chacie. (*prowadzi Minę do chaty na prawo.*)

M I N A.

Zginęłam!

M A X.

Nie... mnie tylko samego szukają. Wejdz tam i nie lękaj się.

M I N A.

Boże! miej nas w twojej opiece. (*wchodzi*)

do chatki, Max drzwi zamyka, potem patrzy w głąb.)

SCENA XIII.

MAX, SCHNAPS.

SCHNAPS. *(na przodzie sceny)*

Oskarża mię, że doniósł o tym człowieku. Dla tego, że mię nie kocha, sądzi mnie nikczemnym! Otóż to kobiety! *(z mocą)* kobiety! Oh,, chciałbym którą z nich złapać w kacie!...

MAX. *(zbliżając się naprzód)*

Idą... bez trwogi..

SCHNAPS.

Bez trwogi... Otóż teraz jestem współnikiem i mojego nieprzyjaciela... Oh! litosci, litosci!... człowiek jest prawdziwą machiną.

SCENA XIV.

SCHNAPS, MAX, MULNER, Żołnierze, *(wszyscy)* przychodzą ścieżką w głąbi będącą z prawej strony.)

MULNER. *(n. s.)*

Otóż on!... *(zbliżając się do Maxa)* Czy WPan jesteś podporucznik Max?

MAX.

Tak jest.

M U L N E R.

Udasz się ze mną do Martigny.

SCHNAPS (*n. s.*)

Ujęł go.

M U L N E R.

Ale pan tu nie byłeś sam?

M A X.

Byłem z tym wieśniakiem.

M U L N E R.

Moje poszlaki są pewne, młoda osoba jest z panem.

SCHNAPS (*n. s.*)

Wiedział o tém!

M A X.

Krótko mówiąc, panie... (*szukając wyrazu*)
burmistrz zapewne...

MULNER. (*zdejmując kapelusz.*)

Tak jest.

M A X.

Czy polecenia panu dane, każą nas oboje przytrzymać?

M U L N E R.

Tak jest, oboje! (*do żołnierza*) Idź do tej chaty; ona tam być musi.

SCHNAPS (*zatrzymując żołnierza*)

Ja pójdę jej szukać. Chcę, żeby ją szanowa-

no, albo jeżeli nie... (*wchodzi do chaty, żołnierz staje przy drzwiach*).

MULHER. (*n. s.*)

Mój biedny Ulryk, ja będę się opiekował twojem nieszczęśliwym dziecięciem!

MAX. (*n. s.*)

Któż jest to młode dziewczę, które mię w tak przykrem stawia położeniu?

MULNER.

Otóż ona! oboje udacie się do Martigny.

SCENA XV.

MAX, MULNER, SCHNAPS, MINA,

Żołnierze w głębi.

SCHNAPS. (*wprowadza Minę, którą okrył swoim płaszczem, i zniżył kaptur na głowę Miny, tak, że ani Mulner, ani żołnierze nie mogą dojrzeć jej twarzy.*)

MINA. (*n. s.*)

Mój ojciec!

MULNER. (*do Miny z dobrocią*)

Zbliż się, nie lękaj się niczego, nikt nie chce twojej zniewagi, ale odkryj twarz swoją!

SCHNAPS. (*do Mulnera*)

Przymuszać ją wstydzic się w obec tylu żołnierzy!

M U L N E R.

Schnaps, cicho.

MAX. (*do Mulnera*)

Panie...

MULNER. (*do Miny*)

Jeżeli tak chcesz, nie odślaniaj twarzy; wierzę, iż żal rozdziera ci duszę, nie pamiętałaś na dobrego i czcigodnego starca.

M I N A.

Na mojego ojca!

M U L N E R.

Tak, na twojego ojca. (*do żołnierzy*) Zaprowadźcie ją do mojej rodziny.

(*Żołnierzy pierwszy rząd staje po prawej za Miną, a drugi po lewej za Maxem. Schnaps zapewnia poruszeniem Minę.*)

M A X.

Do ciebie panie?

M U L N E R.

Tak, do mnie.

MULNER. (*do żołnierzy*)

Obchodźcie się z wszelkimi względami! jej honor tyle mi jest drogi ile mojej własnej córki.

M I N A. (*n. s.*)

Ah, jego spokojność mię zabija!

SCHNAPS. (*do Mulnera, cicho*)

Jakto! każesz ją prowadzić żołnierzom, wystawisz ją na wstyd całej okolicy, oddaj ją mojej straży, ja zaprowadzę ją potajemnie do ciebie.

M U L N E R.

Dobrze mówisz, a więc powierzam ją tobie.

MAX. (*n. s.*)

Co za szczęście!

S C H N A P S.

No Mościa panno, teraz jesteś pod moją władzą, proszę ze sobą.

(*Żołnierze, którzy stali przy Minie, na znak Mulnera otaczają Maxa. Mulner idzie naprzód za nim żołnierze i Max odchodzą w głąb na prawo; Schnaps zostaje tylko z Miną, której podaje rękę*)

M I N A.

Oh mój kuzynie!... jak się to skończy?

S C H N A P S.

Dobrze, dobrze, idźmy...

A K T II.

(Wnętrze wiejskiego mieszkania; drzwi w głębi, prowadzące na zewnątrz; drzwi po lewej w pierwszej kulisie do mieszkania Mulnera, drzwi na prawo w pierwszej kulisie do innych mieszkań zabudowania. Po prawej w drugiej kulisie okno, na którym kwiatki w doniczkach; po lewej w drugiej kulisie wielki komin, przy drzwiach w głębi na prawo zegar; między zegarem i oknem ławka po lewej w głębi, między drzwiami i kominem. Stół, na nim świeca. Kiedy się drzwi otworzą, widać przedsień z drzwiami zamykającymi się na zewnątrz zasuwką.)

SCENA I.

MINA, SCHNAPS. *(wchodzą z głębi; Mina ma ciągle głowę okrytą płaszczem Schnapsa; zmierzcha się.)*

SCHNAPS. *(z gniewem, opryskliwie)*

No, do kroć set skał! nie drzyj już... jesteśmy na miejscu... nic się nie wydało... *(ociera czoło)*

Teraz, kiedy jesteś u siebie, zdejm twój kaptur... nikt cię nie poznał. (*zdejmuje płaszcz, który okrywał Minę i rzuca go na ławkę.*)

M I N A.

A mój ojciec?

S C H N A P S.

Twój ojciec? tak jak i inni... myślałem także zrazu że cię spostrzegł; ale ojcowie! przychodzą na świat niewidomi!

M I N A.

Czyliż nie mówił do officera: Honor tej dziewczyny tyle mię obchodzi ile mojej własnej córki? Widzisz więc, że to tylko dla tego, aby mię nie zawstydzić przed oczyma wszystkich.

S C H N A P S.

Tak, to prawda, powiedział to, ta dobra dusza... Sam nie wiem... (*z gniewem*) Ale nakoniec czyjaż wina? Byłaś na tej djabelskiej skale; można by powiedzieć, że ten żołnierz tak cię przynęcał do siebie, jak macierzanka kozy nasze przywabia... Oh! żebym tak miał wszystkich żołnierzy sardyńskich, tobym im kark skrzył... wszystkim!

MINA. (*z żywością i gniewem*)

Ah! dotychczas wątpiłam, ale teraz pewna je-

stem, że twoja straszliwa zazdrość jest przyczyną wszystkiego... Oh! teraz cię nie cierpię! (*wchodzi do siebie prędko.*)

SCENA II.

SCHNAPS. (*idąc za Miną aż do jej drzwi, tonem bardzo rozgniewanym*)

Ona mię nie cierpi! tak, skrzyłbym kark wszystkim... (*wracając, spokojnie*) Ale na cóżby mi się przydało? Wszakże ona tylko kocha jednego z nich... oni byliby ofiarami!... Ale zresztą i on jest między niemi! zawszeby to dobrze było... Ale nie wiem sam, dla czego mi się tak płakać chee, aż mi w gardle ściska... jak sobie wyobrażam, że ten człowiek będzie ją bił... I to właśnie mię tutaj zatrzymuje... bo ta biedna dziewczyna, jeżeli nie będzie miała nikogo w swojej obronie... Bo mój stryj jej nie obroni, stary, ale bezsilny, (*z gniewem*) chociaż gruby! Ja jestem tu, mam Turka i Plutona, moich dwóch psów... a jeżeli się ruszy, to go zaraz oskubią!... Ale otóż i noc. (*idzie do okna i spostrzega kwiaty, stojące na gzymsie zewnętrznym okna*) Te biedne kwiaty! jak ona teraz o nich zapomina! ona, co je tak lubiła. (*wzdychając*) Dla tej prze-

tęj góry. Zapomniała o kwiatach i kuzynie! (*patrzy przez okno*) Ha! Co za głupstwo Fritza, żeby też stawiać dzwony szklane od melonów pod samém oknem; gdyby doniczka spadła, wszystkoby potłukła! (*z gniewem*) Oh ten głupiec Fritz!... a świecy nie ma o tej porze. (*zapala świecę przy ogniu na kominku.*) Wszyscy więc głowy potracili!

SCENA III.

SCHNAPS, FRITZ, (*wchodząc głębia*)

SCHNAPS. (*zapalając świecę*)

Kto tam? Ah to ty! miałem ci coś powiedzieć... ha! to, żeś głupi (*mówi ciągle, nie zważając na to, że Fritz donosi mu, że jakaś kobieta chce się z nim widzieć*) Dla czego ty stawiasz dzwony szklane pod oknem? Gdyby wiatr zrzucił doniczkę...

F R I T Z.

Jest tu jakaś kobieta, która mówi, żeście jej powiedzieli dziś rano, aby przyszła wieczór pomówić z wami.

SCHNAPS. (*mówi ciągle*)

Kobieta! hm! ja zapomniałem o tém uprzedzić Minę! Ah do tysiąc kóz... człowiek jest pra-

Tom II.

5.

wdziwa mechanika... niech poczeka trochę.
(*Fritz wychodzi głębia.*)

SCENA IV.

SCHNAPS, potem MINA.

SCHNAPS. (*otwierając drzwi do mieszkania Mino.*)

Mino! Mino, pójdz no tu!

MINA. (*łękliwa, nieprzestępując progu drzwi*)

Czy mój ojciec mię woła?

SCHNAPS.

Jeszcze nie wrócił. Nie, mam ci coś powiedzieć. (*Mina wchodzi na scenę.*) Kiedy spędzałem trzode przed chwilą, spotkałem jakąś starą kobietę nieznaną. Sądząc po jej ubra-
niu na głowie, nie musi być z naszych stron;
ale sądząc po jej twarzy, zapewne ma zmartwie-
nie i żąda roboty.

MINA. (*prędko*)

A my właśnie potrzebujemy...

SCHNAPS.

Otóż to właśnie... powiedziałem sobie: może
moja kuzynka ulituje się nad nią. (*z znaczeniem*)
Chociaż ta biedna stara nie jest w służbie Króla
sardyńskiego. Czeka tu...

M I N A.

Czeka, niech wejdzie, kuzynie kaź jej wejść...

SCHNAPS. (*idąc w głąb*)

Powiem jej. (*wpryskliwie*) Pójdź tu, przybliź się. No i cóż; jeżeli się teraz już tak boisz, to na co idziesz do służby?

M I N A.

Dla czegoż do niej tak surowo przemawiasz?

SCHNAPS. (*wracając*)

Nie lubię lękliwych kobiet... jabym bił lękliwą kobietę! No pójdźże!

SCENA V.

SCHNAPS, ELŻBIETA. (*lękliwie postępuje naprzed*) MINA, MULNER (*za sceną*).

MINA. (*do Schnapsa*)

Powiedziałeś, że to nie młoda kobieta?

SCHNAPS.

Ona nie jest stara? (*do Elżbiety*) Jakto? ty nie jesteś stara? Dla czego ty nie jesteś stara? (*n. s.*) Ja mam głowę z jednej strony, a oczy z drugiej.

MINA. (*do Elżbiety*)

Przybliź się, nie obawiaj się niczego.

SCHNAPS. (*do Elżbiety*)

Widzisz, że się zajmuje tobą.

EL Ź B I E T A.

Ten pan powiedział mi, że pani szukasz właśnie kogo, aby ci dopomagał w zatrudnieniach gospodarskich, i miałam nadzieję w pani...

M I N A.

Zkąd jesteś moja panno? jak się nazywasz?

EL Ź B I E T A.

Takie jest moje przeznaczenie, że nie mogę tego powiedzieć; ale jestem kobietą, jestem nieszczęśliwą; odepchnieszże mię od siebie?

S C H N A P S.

Jeżeli nie powiesz twojego nazwiska, to będzie nie mała trudność zawołać cię... bo jakże, chyba... hm... hm!... cha!... (z westchnieniem) Wszystko w naturze ma swoje nazwisko, np. ja nazywam się Schnaps! chociaż także jestem nieszczęśliwy, a przecież nazywam się Schnaps.

ELŹBIETA. (wahając się)

A więc nazywam się...

S C H N A P S.

No... i cóż...

EL Ź B I E T A.

Elżbieta.

S C H N A P S.

Elżbieta!... (z miną niezadowolenia) Oh! oh!.. na koniec jest to także imię!

MINA. *(do Elżbiety)*

Przekonaną jestem, że zasługujesz na to uczucie, które obudzasz we mnie, i gotowa jestem...

SCHNAPS.

Tymczasem... jednakże! nie mówię tego, żebyś była włóczęgą; ale trzebaby wiedzieć...

ELŻBIETA.

Oh! nie przyniosłam uszczerbku mojemu honorowi. *(Schnaps czyni poruszenie, wyrażając jakby był o tem przekonany.)* Jeżeli ukrywam nazwisko mojej familji i miejsce mojego urodzenia, to przez uszanowanie dla boleści mojego dobrego i czcigodnego ojca.

MINA. *(zdziwiona)*

Jakiż powód mógł was rozłączyć?

ELŻBIETA. *(z ufnością)*

Kochałam!

MINA. *(prędko)*

Bez jego wiedzy? *(Elżbieta spuszcza oczy zawstydzona.)*

SCHNAPS. *(do Miny, tonem wyrzutu)*

Widzisz, widzisz Mino! he?

ELŻBIETA.

Moje serce czuło qdrażę do tego, którego mi ojciec przeznaczał....

MINA. *(do Schnapsa)*

Widzisz!... to nie jej wina.

SCHNAPS. *(przerywając jakby nie chciał słuchać)*

Zapewne to był twój krewny?

ELŻBIETA. *(z szczerotą i zadziwioną)*

Nie, przyjaciel tylko!...

SCHNAPS. *(z żywością)*

Tem gorzej!

E L Ź B I E T A.

Dla czego?

SCHNAPS. *(oddalając się nieco)*

Nie!... nie!.. to głupstwo przeszło przez głowę.

E L Ź B I E T A.

Ale wkrótce ciągle grzeczności mojego przyszłego obudziły podejrzenie w moim przyjacielu, który przyrzekł zerwać związek z współżalotnikiem, tak go uważał.

SCHNAPS. *(gwałtownie)*

Oh, jakżebym go wybił!

M I N A.

Kogo?

SCHNAPS.

Kogobądź, to mi wszystko jedno.

E L Ź B I E T A.

Pewnego dnia, napróżno usiłowałam dać zro-

zumieć młodemu człowiekowi, wspieranemu przez moją rodzinę, że nigdy nie mogłabym zostać jego żoną; kiedy nagle ukazał się mój kochanek z gniewem w oczach.

SCHNAPS. (*oburzony*)

Otóż jest... otóż jest.

E L Ź B I E T A.

Elżbieto! zdradziłaś mię, zawołał. Chciałam mu odpowiedzieć, nie słuchał mię, i już rozpoczęli walkę, walkę okropną, która nigdy nie wyjdzie z mojej pamięci.

SCHNAPS. (*wzdycha*)

Pozbawiona sił wzruszeniem, stałam jak martwa, kiedym nagle usłyszała, jak człowiek upadł i głos wołający...

S C H N A P S.

Tra... ta... ślicznie...

E L Ź B I E T A.

I głos wołający:—Jestem zabity!

M I N A. (*z krzykiem*)

Ah!

E L Ź B I E T A. (*mówiąc dalej*)

Zemdlałam.

SCHNAPS. (*porywa Elżbietę, która się zadźwiga*)

Zemdlała... ratujmy ją.

M I N A.

Ale co czynisz?

SCHNAPS. (*patrzac na Elżbietę i widząc pomyłkę*)

No i cóż? jakże nie... oh! tak (*gniewając się na siebie, że się omylił*) No, i cóż, jakże, jest czego!... do kroć set było czego!...

M I N A.

Biedne dziecię!

E L Ź B I E T A.

Kiedy wróciłam do przytomności, mój przyjaciel znikł. Sama, przy tem martwem ciele, przestרחi mię ogarnął. Usłyszałam pomieszane głosy... poznałam głos mojego ojca. Zbliżał się, trwoga owładła moje zmysły... nie śmiałam ukazać się jego oczom; mamże ci wszystko wyznać? uciekłam obłąkana... szalona!

SCHNAPS. (*do Miny z gniewem*)

I cóż Mino!... he?

E L Ź B I E T A.

Od tego czasu błędzę z miejsca na miejsce. Przychodzę cię prosić, abys mi udzieliła schronienie i pozwoliła pracować... Przez litość nie odmawiaj mi, jesteś kobietą, ulituj się nad kobietą!... a jeżeli kochasz... oby miłość twoja była szczęśliwą!

(*Schnaps dobywa chustkę i ociera oczy.*)

MINA. (*z wzruszeniem*)

Elżbieto, kogóż nie zajmie twoje nieszczęście..
przeniknęło mię do głębi.

SCHNAPS. (*po kilku tkaniach*)

A ja jestem bardzo kontent z tego. (*zapalając się*) Otóż to najlepszy dowód...

M I N A.

Pomówię z moim ojcem.

E L Ź B I E T A.

Oh, jakże wdzięczną będę.

MULNER. (*za sceną*)

To dobrze, to dobrze!

SCHNAPS. (*placząc i tonem politowania do Elżbiety*)

To mój stryj!

MINA. (*drżąca*)

Mój ojciec!

SCHNAPS. (*do Miny*)

Oddal się kuzynko, zgaduję twoje przykrości, odejdźcie i nie obawiajcie się niczego.

(*Schnaps odprowadza Minę i Elżbietę na prawo.*)

SCENA VI.

MULNER, SCHNAPS.

SCHNAPS. (*z początku sam*)

A ta Elzbieta!... ze swoją historją!... otóż jeszcze jedna. (*z gniewem*) Oh ojcowie! ojcowie! jestem rozgniewany!... człowiek jest mały!

MULNER. (*wchodząc głębią, zamyka drzwi*)

Otóż jestem!

SCHNAPS.

To dobrze, a więzień?

MULNER. (*zadowolony*)

Jest tu.

SCHNAPS.

Jakto tu! Gdzież tedy?

MULNER. (*wskazując drzwi zewnętrzne*)

Tam! jest to najpiękniejsza izba z całego domu, chcę żeby mu było dobrze.

SCHNAPS.

Ale drzwi tylko na zasuwkę się zamykają, chcesz więc żeby się wymknął?

MULNER. (*dobrodusznie*)

Słuchaj, zaprowadziłem go do więzienia miejskiego; ale od piętnastu lat nikt w niem nie siedział.

SCHNAPS.

To właśnie źle, że nikogo nie wsadzali.

M U L N E R.

I drzwi zupełnie zamknąć nie ma na co, musiałem go tedy ze sobą przyprowadzić. Tu, przynajmniej będę go miał pod ręką... *(z powagą)*
A ona? ona? przyprowadziłeś ją?

SCHNAPS. *(n. s.)*

Poznał ją! *(głośno)* Tak, mój stryju!

M U L N E R.

Nie spodziewa się co ją czeka. Trzeba być surowym, nieprawdaż? i będę nim.

SCHNAPS.

Słusznie, trzeba... *(łagodząc się)* To jest, nie.. nie mój stryju, to byłoby niesłusznie.

M U L N E R.

Niesłusznie?... dziewczyna tak występna!

SCHNAPS *(z uczuciem)*

Występna! ona? tak jak ptaszyna, która się załedwie wykluła. Młode dziewczęta... to młode... jest w wieku głupstwa... popełniła nieroztropność... nic więcej... a ty stryju krzyczysz... Otóż to jest lekkomyślność ojców!... mają dzieci... które są młodsze od nich... nie pilnują ich, a potem powstają... Ah do kroć set kosztów, ja nie chciałbym być ojcem!

M U L N E R.

Ja nim jestem!

SCHNAPS. (*z politowaniem*)

Ah!

M U L N E R.

I wiem co powinienem czynić.

S C H N A P S.

Już ja dosyć jej nagdérałem... w drodze! W pierwszej chwili, uniosłem się... złem zrobił... dla tego to mówię, żebyś to stryju załagodził... ona się rozplakała z mojej przyczyny; powiedz jej że mi to przykro, powiedz jej to... Te biedne kobiety, to zawsze płacze, to dużo płacze. Nie lubię tego, nie. (*idzie naprzód i wraca mówiąc tonem wesołym*) Stryju! czy ty lubisz, żeby kobiety przez ciebie płakały?

M U L N E R.

Nie bynajmniej... ale honor... władza ojca nieuznana...

S C H N A P S.

Ah ba! nakoniec dobrze się zastanowiwszy, nie ma tu tak wiele złego... Jeżeli ona była na skale, to dowodzi, że kochała tego wojskowego. Widzisz mój stryju, serce młodej dziewczyny jest jak hubka... nie mogę go inaczej uważać, ono jest jak hubka, to się zatli z byle czego. Już ona dosyć ukarana w tej chwili, trzeba być łagodnym, kobieta... to słabe... jak...

M U L N E R.

Niech mię kaci porwą, zdaje się, że ty mi tu morały odważasz się prawić?

S C H N A P S.

Bądźmy łagodni!

MULNER. (*zniecierpliwiony*)

Ej do tysiąc piorunów, wiem co mam czynić...

S C H N A P S.

Bądźmy łagodni!

M U L N E R.

Ej!... idź preez... bo...

SCHNAPS. (*trwożliwie*)

Ale, mój Boże! to co mówię mój stryju, to dla twojego dobra.

M U L N E R.

Jakto dla mojego dobra?

SCHNAPS. (*zawsze z wzruszeniem*)

Powazam cię i kocham, ty dałeś mi wychowanie, i ty także kazałeś mi pilnować trzody!... ale jeżeli się z nią surowo obejdziesz... (*z groźbą*)
Oh! oh... mój stryju!

M U L N E R.

No, no, i cóż uczynisz?

SCHNAPS. (*z groźbą*)

Nie wiem! ale to będzie brzydko... to będzie coś nie bardzo dobrego.

Tom II.

6.

MULNER. (*zniecierpliwiony*)

Nudzisz mię! idźże sobie (*idzie do drzwi na lewo i otwiera je.*)

SCHNAPS. (*spokojnie*)

Dobrze! dobrze! czyń ze mną co ci się podoba... jestem tej samej płci co i ty.

MULNER. (*n. s. patrząc do swojej izby*)

Ha!, otóż i Wilhelm. (*głośno*) Schnaps idź precz!

SCHNAPS.

Dobrze mój stryju.

MULNER. (*n. s.*)

Ma dobre serce, ale nieznosny. (*głośno do Schnapsa, który się zatrzymał we drzwiach w głębi*) Zaczekaj!... idź do więźnia, zobacz czy mu czego nie brakuje. Chcę, ażeby mu dano wszystko czego zażąda... tylko gdyby chciał uwolnienia... Ty mi za niego odpowiesz.

SCHNAPS. (*wracając do stryja*)

Dobrze mój Stryju. No, teraz kiedy jesteś cokolwiek spokojniejszy, postaw się na jej miejscu... gdybyś się zakochał w wojskowym oficerze?...

MULNER. (*z gniewem*)

Jeszcze... czy pójdziesz ty nakoniec?

SCHNAPS. (*n. s. odchodząc*)

Poleca mi, abym miał staranie o człowieka, którym najmocniej w świecie się brzydzę. Moje położenie jest przewrotne! (*idzie do drzwi w głębi, odwraca się do Mulnera i mówi*) Bądźmy łagodni! (*wychodzi głębia.*)

SCENA VII.

WILHELM, MULNER.

MULNER. (*sam zrazu; gdy Schnaps się oddalił, otwiera drzwi od swojej izby po lewej i woła.*)

Wilhelmie! Wilhelmie!

W I L H E L M.

Jestem panie Burmistrzu.

M U L N E R.

Możesz teraz wrócić do Chamouny, uspokoić mojego biednego Ulryka; jego córka jest w moim domu i Max uwięziony.

W I L H E L M.

Gdzież ona jest? niech ją zobaczę, abym mógł powiedzieć mojemu panu: widziałem pańskie dziecię... widziałem ją własnymi oczyma.

MULNER. (*wskazując drzwi na prawo*)

Ona jest tam bezwątpienia, (*otworzywszy drzwi i zajrzawszy*) Tak, z moją córką.

WILHELM. *(z radością także zobaczywszy)*

Tak, tak, to ona!... to moja młoda pani...
Oh panie Burmistrzu, ileż radości dla tego dobrego Ulryka! *(wychodzi drzwiami z lewój, Mulner odprowadziwszy go, drzwi za nim zamyka.)*

M U L N E R.

Co za dzień! *(sposstrzegając Minę i Elżbietę)*
Otóż ona! okażmy się surowym, trzeba przybrać postać obojętną i ostrą.

SCENA VIII.

MULNER. *(po lewój)* MINA i ELŻBIETA. *(po praw.)*

M I N A.

Mój ojcze!

E L Ź B I E T A.

Mów za mną...

MINA. *(cicho do Elżbiety)*

Tak, oddal się, zostaw nas oboje!

MULNER. *(idąc do Elżbiety)*

Zostań Mościa panno!

ELŻBIETA, *(z oczyma spuszczonemi)*

Jestem posłuszną! *(n. s.)* Brzę cała!

MINA. *(n. s. stając zupełnie po lewój)*

Niestety! jak mówić za nią, kiedy mam o tyle prosić dla siebie. Mój ojcze... ta biedna dziewczyna..

M U L N E R.

Kochasz ją, już widzę.

M I N A.

Czy pozwolisz mój ojciec błagać cię o przebaczenie błędu...

M U L N E R.

Możesz błagać, ale go nie otrzymasz. (*patrzy na Elżbietę, która została na prawo*)

M I N A.

Jednakże gdyby to zejście się z tym wojskowym, miało cel najczystszy. (*poruszenie Mulnera*) Tak, najczystszy. Mój ojciec, i twoje serce nie sprzeciwiałoby się, gdybyś wiedział..

MULNER. (*surowo*)

Dosyć tego.

M I N A.

Ale nie wiesz...

MULNER. (*j. w.*)

Dosyć, mówię, wiem wszystko.

M I N A.

Ty dasz się ubłagać.

M U L N E R.

Ja nie odmawiam jej mojej życzliwości.

ELŻBIETA. (*n. s.*)

Jak ona jest dobrą, mówi ciągle za mną!

M U L N E R.

Zobaczysz jak z nią postąpię. (*idzie do Elzbiety.*)

MINA. (*zdziwiona*)

Gdzie mój ojciec idzie?

MULNER. (*z dobrocią do Elzbiety*)

Witam cię w moim domu, kochane dziecko..

E L Ź B I E T A.

Ah panie!

MINA. (*zbltżając się żywo.*)

Mój ojczy! ta panna pragnie...

MULNER. (*do Miny oddalając ją ręką*)

Dajże mi pokój! (*do Elzbiety*) Znam twoje nieszczęścia. Jesteś u mnie, to bardzo dobrze...

ELŻBIETA. (*do Mulnera*)

Jakto panie? raczysz mię przyjąć?...

M U L N E R.

Moja córka broniła twojej sprawy z takim zapalem.. będziemy się starali zapomnieć zdarzenia na skale..

ELŻBIETA. (*zawstydzona*)

Panie...

MINA. (*zdziwiona*)

Na skale... gubię się.

M U L N E R.

Uważaj się tu jak u siebie. Nie jestem tak zły

jak się wydają. Moja córka także jest dobre
dziecią... pragnie być twoją przyjaciółką; czy
chcesz sprzyjać jej wzajemnie?

ELŻBIETA.

Oh zawsze!.

MULNER.

A więc koniec... *(idzie do Miny)* Ty nie wiesz
kto jest ta panna?

MINA. *(patrzac na ojca niespokojnie)*

Mój ojczel!...

MULNER. *(z tajemnicą)*

Powiem ci dla tego żebyś stósownie się z nią
obchodziła. Ta młoda dziewczyna należy do
szlachetnej familji; była porwaną z domu ojcow-
skiego.

MINA.

Porwaną?

MULNER.

Cicho! ani słowa... przed nią!.

MINA. *(n. s.)*

Jakże Schnaps mógł do tego stopnia pomie-
szać myśli mojego biednego ojca?

SCENA IX.

MINA, MULNER, SCHNAPS, ELŻBIETA.

SCHNAPS. (*wchodząc z głębi za Mulnerem*)

On niczego mi potrzebuje ten wilkołak... on jest kontent... śmieje się z zbrodni swojej.

M U L N E R.

Dobrze.

SCHNAPS. (*postrzegając Minę*)

To ona! (*cicho do Mulnera*) Mój stryju, jakże, czy srogo się z nią obszedłeś?

MULNER. (*idąc do Elżbiety*)

Bądźże cicho! (*do Elżbiety*) Chcę ażebyś tu była uważaną jak moja córka.

ELŻBIETA. (*zdziwiona*)

Ja?

SCHNAPS. (*do Miny zdziwiony*)

Służąca? Jakto? co?

MINA. (*cicho do Schnapsa*)

Mój ojciec mniema, że ją przytrzymało.

SCHNAPS. (*cicho do Miny*)

Więc nie wie nic? (*n. s.*) Brawo! służąca...

MULNER. (*do Elżbiety z dobrocią*)

Będiesz kontenta... wkrótce... tak... niedługo.

SCHNAPS. (*coraz bardziej zdziwiony.*)

A! to dobrze, ale... (*cicho do Miny*) Więc ona

przystąpiła na to, że wszystko weźmie na swój rachunek?

MULNER. (*patrzac na Elżbietę z zadowoleniem, na stronie*)

Nie wie sama co myśleć... (*zbliżając się*) Moje przyjęcie zadziwia cię, zwłaszcza po tem co się stało na skale...

E L Ź B I E T A.

Panie...

SCHNAPS (*idzie żywo do Elżbiety i porywa ją za rękę*)

Nie odpowiadaj!

MULNER. (*z gniewem*)

No, jeszcze!

(*Elżbieta patrzy na Schnapsa zadziwiona, Mulner zbliża się do Miny i mówi:*)

M U L N E R.

Ja muszę wyjść, miej staranie o tę dziewczynę. (*mówi cicho do Miny*)

SCHNAPS. (*do Elżbiety opryskliwie i ukradkiem*)

Słuchaj, masz mój szacunek, tak!

E L Ź B I E T A.

Ale ja nie takiego nie uczyniłam...

S C H N A P S.

Dobrze! dobrze!... jesteś przedziwną, wy-

borną dziewczyną... Ale niech się nie zdaje że my tu szeptamy, bo ojciec mógłby mieć podejrzenie... odejść, to jest co najlepszego uczynić możesz.

E L Ź B I E T A.

Jakto?

S C H N A P S.

Cicho! (*prowadząc ją aż do drzwi na prawo*)
I strzeż się, żebyś się nie skaleczyła.

(*Elżbieta odchodzi najmocniej zdziwiona, Schnaps drzwi zamyka.*)

MULNER. (*po cichu rozmawiał z córką*)

'Ty nigdy nie będziesz nic ukrywać przed twoim ojcem, nieprawdaż? (*całuje ją w czoło.*)

SCHNAPS. (*uradowany prawie odchodząc od siebie*)

Ah mój stryju! ah mój waleczny stryju! dobrze! dobrze!

MULNER. (*odwracając się zdziwiony*)

Cóż to?

SCHNAPS. (*starając się ukryć wzruszenie*)

Nic... nic... to tak... oh!... to mnie cieszy żeś uściskał twoją córkę, to mnie cieszy tak... (*chce uściskać Mulnera*) Jeżeli pozwolisz....

MULNER. (*odpychając go*)

Czy ty dasz mi pokój?

S C H N A P S.

To wszystko jedno! (*porywa go za rękę, wstrząsa nią*) Jesteś moim stryjem!

MULNER. (*do Miny*)

Na honor, nie wiem co się dziś z nim dzieje od samego rana. Głupstwo po głupstwie popętnia. Gdybym go był usłuchał przed chwilą, byłbym nie złapał mojej zdobyczy... chciał mię winną stronę koniecznie poprowadzić.

MINA. (*z uwagą, żywo*)

Jakto?

M U L N E R.

I kiedy postrzegł, że trwam w przedsięwzięciu poprowadzenia mojego wojska na skałę, poleciał jakby go szatan niósł..

MINA. (*na stronie, patrząc na Schnapsa z wdzięcznością*)

Aby mię ostrzedz!

SCHNAPS. (*z gniewem, siadając na ławie w głębi*)

Ale na co się to przyda gawędzić o tem? na co się to przyda?

M U L N E R.

No wstań, nie przestawaj dawać baczenia na mojego więźnia.

SCHNAPS. (z groźbą)

Ah! ah! ten! czekaj!

MINA. (do Mulnera)

Gdzież on jest?

M U L N E R.

W izbie wychodzącej na jezioro.

MINA. (wzruszona n. s.)

Tu?

ŚPIEW Nro 6.

M U L N E R.

Tobie powierzam jego straż,

Ile ci ufam dobrze zważ,

Na chwilę nie odstęp go;

Niechajże więc bacznym twój wzrok

Sledzi bez przerwy każdy krok,

Wynagrodzić później to.

S C H N A P S.

Twe obawy bezzasadne,

Niechno ja na niego wpadnę,

A wnet on jak listek drży.

Oczy surowe bez miary,

A !posiadam ich trzy pary...

Licząc w to moje dwa psy.

MINA. (n. s.)

A ja go obwiniałam! Ah tego mu nigdy nie

zapomnę. On się poświęcił dla mnie, dobry kuzyn.

S C H N A P S.

Możesz sobie śmiało nie myśleć o twoim więźniu, kiedy ja tu jestem.

(*Mulner wchodzi do siebie na lewo, Schnaps chce iść do drzwi w głębi.*)

SCENA X.

MINA, SCHNAPS.

MINA. (*z dobrocią, z oczyma spuszczonemi*)

Przebacz mi kuzynie.

SCHNAPS. (*wracając*)

Przebaczyć, co?

M I N A.

Obudziło się we mnie obrażające cię podejrzenie... bądź łaskawszym jak ja kuzynie, ja sobie tego nie przebaczę. Ale ty?... powiedz... (*podaje mu rękę.*)

S C H N A P S.

Ja? (*patrzy przez chwilę na rękę, którą Mina mu podaje, nie śmiejąc jej wziąć, potem z radością biegnie ją uchwycić, kiedy Mina cofa się prędko.*)

MINA. (*n. s.*)

Boże! cóż byłabym uczyniła?

Tom II.

7.

SCHNAPS. (*wzruszony, z żalem*)

Tak, słusznie; ja też to sobie powiedziałem, że to była tylko omyłka.

MINA. (*zakłopotana*)

Mój biedny kuzynie, wierz mi...

SCHNAPS. (*mocno wzruszony*)

To nic, oh to nic, to nie boli! (*na stronie z gniewem*) Ah gdybym miał pod ręką jaką osmdziesiątletnią kobietę, garbatą i ubogą, ożeniłbym się z nią natychmiast (*z przekonaniem*) i uczyniłbym ją szczęśliwą. (*wychodzi głębią.*)

SCENA XI.

MINA. (*sama*)

Zmartwiłam go, biedny chłopiec!.. w głowie mi się miesza... Ale wnosząc z mowy mojego ojca, miał polecenie przytrzymać Maxa... i jakaś kobieta miała się z nim znajdować? Oh muszę z nim mówić, niech się dowiem od niego... Mój kuzyn poszedł do obór; ojciec u siebie (*otwiera drzwi na lewo i zagląda.*) Coś napisał, składa list... bierze kapelusz (*z radością*) i wychodzi. Oh tak, muszę widzieć się z Maxem. Tylko przez ciekawość, bo ja nie kocham tego wojskowego. (*połgłosem*) Oh nie. (*tonem pe-*

wnym) Oh nie!... nie kocham go. Ale chcę wiedzieć, czy to prawda, że on porwał... kobietę... to bardzo naturalne. *(otwiera drzwi w głębi, i odsuwa rygiel u drzwi zewnątrz będących)* Panie żołnierzu, proszę, to ja mu otworzyłam, pójdź.

(Mina zamyka drzwi, skoro Max wejdzie.)

SCENA XII.

MAX. MINA. *później* SCHHAPS.

M A X.

To ty przecież, zachwycające dziewczę! długo czekałem cię!...

MINA. *(nieco urażona)*

Panie!...

M A X.

Oh nie broń się!... nie jesteś moim aniołem opiekuńczym?

MINA. *(z usiłowaniem)*

Panie Max... ja... żądam objaśnień...

MAX. *(zdziwiony)*

Odemnie?...

M I N A:

Wszakże jesteśmy tylko oboje, a jednakże powinno nas być troje...

M A X.

Ba! i kogóż brakuje?

M I N A.

Właśnie ciebie o to chcę się zapytać.

M A X.

Na słowo, nie wiem co przez to chcesz powiedzieć.

M I N A.

Burmistrz otrzymał rozkaz przytrzymania pana Max, i kobiety, którą wykradł.

MAX. (*zdziwiony, prędko*)

Kobiety?

M I N A.

Tak jest!... i teraz zgadujesz, dla czego będąc na górze zostałam uwięzioną.

M A X.

Mówisz, że wydano rozkaz uwięzienia kobiety będącej ze mną na górze? To być nie może!

M I N A.

Zaprzeczyszże temu przynajmniej, że kobieta wpływa cokolwiek na tajemnicę twojej ucieczki?

M A X.

Oh, jeżeli tak mówić będziemy, to inna rzecz, przyznaje.

MINA. (*przymuszając się*)

Kobieta, dla której czujesz najtkliwsze... przywiązanie..

M A X.

Tak jest.

MINA. (*n. s. prędko i z wzruszeniem*)

A więc to prawda!

MAX. (*zapalając się*)

Tak, kobieta którą kocham, (*miarkując się*) którą kochałem tak jak życie! Ale daruj mi, że nie będę mówić z tobą o tym związku... przywo-
dzi mi na pamięć bolesne wspomnienia... moje serce już na zawsze zamknięte dla ponęt miłości..

MINA. (*n. s.*)

Oh, jakżem dobrze uczyniła że go nie po-
kochała.

M A X.

Dla niej to ścigano mnie, uwięziono, i może
jako zbieg rozstrzelany będę!...

MINA. (*żywo i z przerażeniem*)

Rozstrzelany!!

M A X.

To nie! bardzo zabawne! (*lekko*) jeżeli ty nie
masz władzy sprzeciwić się temu!

MINA. (*mocno wzruszona*)

O mój Boże! panie Max!... ty!.. rozstrzelany!
Wolałabym raczej widzieć cię oddalającego się...
oddalającego się na zawsze... nie widzieć cię
więcej.

M A X.

Oddalającego się!... to bardzo łatwo powie-
dzieć...

MINA. (*prędko*)

A gdyby ci podano sposób?

M A X.

Kto?

M I N A.

Ja.

M A X.

Ty? Nie przyjąłbym. Mogłem schronić się
w góry, wtenczas moje tylko życie narażałem
na niebezpieczeństwo; ale uciekać narażając
ciebie, nigdy!

M I N A.

Ale to mi nic szkodzić nie będzie.

M A X.

Jednakże, gdybyś ułatwiła moją ucieczkę?...

M I N A.

Przysięgam ci, że się niczego nie obawiam.
(*idzie do okna.*)

MAX. (*n. s.*)

Mówi z taką pewnością, że gdyby kto był za-
bobonnym, mógłby uwierzyć w duchy.

M I N A.

Panie Max, idź, uciekaj, chwile są drogie...
To okno wychodzi na ogród... mur niewysoki...
(*z wzruszeniem*) Może moje życzenia i modły
będą twoją obroną.

MAX. (*wzruszony*)

Mino!

ŚPIEW NRO 7.

M I N A.

Oddal się ztąd i w innej ziemi,
Szukaj dla siebie schronienia,
Ja za ciebie modły mejemi
Nieść będę w niebo życzenia.

M A X.

Gdy mam opuścić to ustronie,
O luba, uciec w tej dobie,
Ah żal osiada w mojem łonie,
Daj mi pamiątkę po sobie.

MINA. (*odpinając bukiet*)

Niech więc ten bukiet, dar niebogaty,
Zawsze do szczęścia wiedzie cię.

MAX. (*spoglądając na kwiaty*)

To pewna: bo to są z tych gór kwiaty.

MINA. (*spuszczając oczy z wzruszeniem*)

To kwiat: nie zapominaj mię!...

R A Z E M.

M I N A.

Oddał się ztąd do innej ziemi,
Szukać dla siebie schronienia,
Ja tu za ciebie modły mojemi,
Nieść będę w niebo życzenia..

M A X.

Oddalę się do innej ziemi,
Szukać dla siebie schronienia,
Ty za mnie tutaj modły twojemi,
Nieś, błagam, w niebo życzenia..

MINA. (*n. s. gdy Max otwiera okno.*)

Przynajmniej uniknie rozstrzelania! (*Max stawiając nogę na okno, zrzuca doniczkę z kwiatami; słychać za sceną wielki łoskot szkła stłuczonego.*) O nieba!

MAX. (*spoglądając na nią oniemiały*)

Ah! niezręczny!

SCHNAPS. (*za sceną*)

Fritz! zawołaj na psy...przywołaj psy!

MAX. (*prędko, niespokojny*).

Ktoś tu idzie..

MINA. (*wrozpaczy*)

Teraz uciekać niepodobna.. Ah! tedy...(otwiera drzwi w głębi)

SCHNAPS. (*za sceną*)

Apport Pluton...huzia... apport... dalej go... szukaj...pyf!

MINA. (*zamykając drzwi*)

To Schnaps! ah mój Boże!

M A X,

Jeszcze ten Schnaps... że też ani na krok mię nieodstępuje.

MINA. (*spieszy do drzwi na lewo*)

Ah Boże! tedy! tedy!.. tam jest wyjście (*otwiera drzwi, które natychmiast zamyka*) Nieba! mój Ojciec wszedł...(idąc do Maxa) Panie! oh panie, zgubisz mię!

MAX. (*wrozpaczy*)

Ciebie zgubić, o nieba! oddałbym życie, gdybym mógł wrócić do mojego więzienia.

MINA. (*idąc w głębi*)

Nie możesz ztąd wyjść... spostrzeżonoby cię... Idą...ukryj się.

M A X.

Alé gdzie? przecież nie mogę się ukryć tu w tej izbie.

M I N A.

Ah! (*wskazuje na zegar*) Tam, prędko! prędko!

MAX. (*zadziwiony*)

Tam! (*wchodzi*) Ah jak tu ciasno!

M I N A.

Blagam cię bądź spokojny!

M A X.

Bądź spokojny, nie można się ruszyć.

MINA. (*zamknąwszy zegar*)

Oh! jakże mi słabo, mało nie zemdleję! (*słychać głos Schnapsa*) mój kuzyn, oddalmy się... moje pomieszanie zdradziłoby mię. (*odchodzi prędko na prawo*)

SCENA XIII.

SCHNAPS. MAX (*w zegarze*). MULNER. (*za sceną*)

SCHNAPS. (*otwiera żywo drzwi w głębi, zagląda do więzienia, mocno rozgniewany*)

Nie ma nikogo w więzieniu...Pluton nic nie znalazł.. a jednakże drzwi tego wiercipięty otwarte. Gdzie ona go wsunęła? (*szuka i zatrzymuje się patrząc na kominek*) Sabaudecykowie mają nałóg drapać się w kominy...to już od urodzenia (*bierze świecę, zagląda w komin i odzywa się jak kominiarz*) Aj! aj! hu!... Niema

nie, bo nie nie odpowiada. Gdyby on też był w zegarze... oh! ba!... to się trafiało... (otwiera drzwi od zegaru i postrzega Maxa) Ah, do sto piorunów, jest skazówka! (Max do połowy wychodzi, Schnaps go chwytą) Ah, ha! chcieliśmy drapnąć!...

M A X.

Za pozwoleniem, panie Schnaps!

SCHNAPS. (ciągnąc go wciąż)

Ah, chcieliśmy sobie smyrgnąć! czmychnąć.

MAX. (tonem groźby)

Do pioruna! nie wstrząsaj mną tak!...

SCHNAPS. (krzycząc)

Do kroćset piorunów! do sto tysięcy milionów piorunów (krzyczą oba)

MULNER. (za sceną po lewej)

Co to jest? co to jest?

SCHNAPS. (przelekły)

Mój stryj! (do Maxa) Dalej do zegara... dalej... pakuj się!...

MAX. (wychodząc do połowy z zegaru)

Dasz mi zadosyć-uczynienie...

SCHNAPS. (wpychając go gwałtownie)

Schowaj się w twoje pudełko, bo cię... zjem...

bo cię ukarbuje... Ah! do stu skal! (*zamyka drzwi zegaru i biegnie na lewo, przybywa w chwili, kiedy Mulner chce drzwi otworzyć.*)

SCENA XIV.

MULNER, SCHNAPS, MAX.

MULNER. (*otwierając drzwi*)

Cóż to się stało?

SCHNAPS. (*zamykając drzwi prędko*)

Nic, nic, nie wolno wchodzić!

MULNER. (*za drzwiami*)

Jakto nie wolno!

SCHNAPS.

Ja nie jestem w przyzwoitym ubraniu... ubieram się właśnie.

MAX. (*otwierając drzwi zegara*)

Powiedzcie mi Schnaps...

SCHNAPS (*biegnie prędko do zegara i zamyka drzwi*)

Ej schowaj się bo będzie laps..., (*biegnie do Mulnera*) Mój stryju!

MULNER. (*za sceną chcąc otworzyć drzwi*)

Ale muszę pomówić z więźniem...

SCHNAPS (*przyciskając drzwi*)

Niepodobna, mój biedny stryju... jestem zupełnie nie ubrany... ah wstydzę się! nie wchodzi!

MAX. *(otwierając zegar)*

Ale ja się tu tuduszę!

SCHNAPS *(zamykając mu drzwi)*

Siedź mi w pudełku cicho!

MULNER. *(chcąc otworzyć drzwi)*

Czyś ty głowę stracił? Jaktó u mnie?

SCHNAPS. *(zamykając drzwi)*

Idź na około mój stryju, proszę cię, idź do koła!

MULNER. *(rozgniewany)*

Czy też kto widział co podobnego? Nie pozwolic' mi wejść?

SCHNAPS. *(głosem żalonym)*

Muszę mój biedny, gruby stryju!... jestem w ubraniu dzikich ludzi...

M U L N E R.

Oh!... I cóż czynić? pójdę do koła... i zobaczymy!... jak dziki człowiek!

SCENA XV.

MAX *(ukryty)* SCHNAPS.

S C H N A P S.

Tak, idź... potrzebuje pięć minut czasu obejść na około... drzwi ogrodzenia są zamknięte.. przez ten czas wpuszczę mojego więźnia do więzienia...

Tom II.

8.

a ponieważ ona kocha go do tego stopnia, (*z pogardą*) że go zamyka w zegary, pozostaje mi tylko jeden sposób. (*otwiera drzwi zegaru*) No wyjdź!

MAX. (*wychodząc*)

Jedno słowo!... Domyślam się, sądzisz się być obrażonym w twojem przywiązaniu... wychodźmy, służę ci.

S C H N A P S.

Jakto? wychodźmy! Rozumiem, chciałbyś wyjść! toby ci smakowało, żebyś był na świeżem powietrzu! Otóż to Sardynczyk! poznaję go!... zaraz wyjść! ehe?... Mamy tylko chwilę czasu panie wojskowy... Słuchaj pan, mówiłeś mi, że kochasz Minę!

M A X.

To prawda, powiedziałem.

S C H N A P S.

Żołnierzu! panie! kochasz ją? Trzeba się z nią ożenić.

M A X.

Co, co?

SCHNAPS. (*z wzruszeniem*)

Ożeń się z nią, mój waleczny Max! już się nie gniewam na ciebie, nie bój się.

MAX. (*do siebie z uśmiechem*)

Bać się?

SCHNAPS.

Ona jest młoda... ładna... dobra... ma wiele dobrego, kocha cię. W Szwajcarji kiedy się kocha i kiedy się jest kochanym, to się żenią... No do miljon... brrrr, bądź nieco Szwajcarem, no!

M A X.

Mój biedny Schnaps, jesteś poczciwy chłopiec, ale...

SCHNAPS. (*wzruszony*)

A jeżeli kiedy będziecie mieli małe.. pomyślcie sobie, że i ja należę do tego, co wam radość sprawia... będę je kołysał, będą tańczyć na moich kolanach... ja nauczę ich śpiewki naszych gór... la... la... la... bo wasze dzieci... nie mógłbym ich nienawidzić, pomnąc na to, że gdyby nie ja, toby ich nie było na świecie.

M A X.

Ale nie mówmy o tem, nie nalegaj.

SCHNAPS. (*zapalając się*)

Może dla tego, że jesteś biedny? A więc i na to znajdzie się sposób...

ŚPIEW NRO 8.

Tylko proszę na początek
Nie obraż się panie tem,
Że mój po stryju majątek
Dziś ci ofiarować śmiem.

Nie sądź, że mam duszę wspaniałą i tkliwą,
Bogactwo dla mnie zwiększa brzemień kar,
Chciałem ich, by Minę uczynić szczęśliwą;
Dla tego dzisiaj czynię ci z nich dar.

M A X.

Jakto, ty ją kochasz? i chcesz, żebym ja się
z nią ożenił?

S C H N A P S.

Tak... chcę,

M A X.

A to szczególny człowiek!

SCHNAPS. (*głosem zmienionym przez wzru-
sz n'ie*)

Ja taki jestem, oh ja taki... ożeń się, a ja będę
zadowolony.

M A X.

Gdybyś mi oddał dochód twoich dwudziestu
dwóch kantonów, nie mógłbym tego uczynić.

SCHNAPS. (*krzycząc cicho*)

A więc kiedy tak, niech wiedzą, że ty ją wysta-
wiłeś na wstyd. Miną może to życiem przyplaci.

M A X.

Mina!

SCHNAPS. (*roztkliwiając się*)

Mój stryj także... tém lepiej... ponieważ w ten-
czas, nie mając już nic do roboty na tej ziemi,
rzucę się na ciebie jak niedźwiedź i zaduszę.

M A X.

Cicho, nie krzycz, słuchaj; wynajdź jaki spo-
sób, abym się mógł widzieć z Miną!

S C H N A P S.

A to na co?

M A X.

Wynajdziemy jaki środek, aby to wszystko za-
łatwić.

S C H N A P S.

Doprawdy?

M A X.

Ona mię nie kochoa... nie więc nie trzece... je-
stem pewny, ona mię nie kochoa.

S C H N A P S.

A gdyby ona tego wymagała, ożeniłbys się
z nią?

M A X.

Uległbym jej woli.

SCHNAPS. (*wzruszony, biorąc jego rękę*)

To coś powiedział, to dobrze... wracam ci

wielką część mojego szacunku... pójdź, zaprowadzę cię do więzienia.

M A X.

Idźmy!

SCHNAPS. (*ocierając sobie łzy*)

Nakoniec to wszystko jedno, czy z nim, czy ze mną, byleby była szczęśliwą! (*wychodząc głębią i zamykając drzwi*)

SCENA XVI.

ELŻBIETA. (*wchodząc z prawej*) *potém*

SCHNAPS. (*z głębi*)

ELŻBIETA. (*wchodząc ostrożnie*)

Ta dobra panna prosiła mię, abym wypuściła człowieka tu ukrytego i zapewniła go, że wynajdzie sposób ucieczki. Nie mogłam jej odmówić, ona była dla mnie tak łaskawą. Więc cały świat błądzi! (*idzie do zegara i otwiera*)
Nie ma nikogo!

SCHNAPS. (*wchodząc prędko*)

No! i cóż tam szukasz?

ELŻBIETA. (*zmieszana*)

Nic... nic...

SCHNAPS. (*zamykając drzwi od zegara*)

Wyznaj bez ogródki.. szukasz tu Chrześcianina.

E L Ź B I E T A.

Cicho! gdzie on jest?

S C H N A P S.

I to Mina cię przysłała?

E L Ź B I E T A.

Przez litość! milcz!

SCHNAPS. (*n. s.*)

Trzebaż aby ona go kochała! (*głośno*) A więc powiedz jej, niech będzie spokojną, że więźnia ja tylko widziałem, i że wrócił już do swojej klatki ten Max...

E L Ź B I E T A.

Max!... jakto!... on się nazywa Max?

S C H N A P S.

Tak mówi.

E L Ź B I E T A.

Oficer?

S C H N A P S.

Króla sardyńskiego.

ELŻBIETA. (*z radością*)

Ah to on!

SCHNAPS. (*mocno*)

Kto? Król sardyński?... ah! ba!...

E L Ź B I E T A.

Mój Max!... w więzieniu! on!

S C H N A P S.

Jakto twój Max? Co to znaczy, jej Max?

E L Ź B I E T A.

Chcę go widzieć, zaprowadź mię do niego.

S C H N A P S.

Znasz go więc?... czybyś ty go kochała? |

E L Ź B I E T A.

Czy go znam? Wielki Boże! wszakże to dla niego opuściłam rodzinę... dom... wszystko...

SCHNAPS. (*najmocniej zdziwiony*)

Ah, teraz znowu inna rzecz!... ona opuściła wszystko, dom, rodzinę... i wszystko... Czy szatan cię tu sprowadza?

E L Ź B I E T A.

Jest nieszczęśliwym, pozwól mi go pocieszyć!
On mię kocha, panie, kocha mię.

S C H N A P S.

Kocha cię? (*n. s.*) A więc dwie kocha? Cóż to jest za człowiek!

E L Ź B I E T A.

Nie wie, że jestem blisko niego. Najmiej nieba, panie, pójdź.

S C H N A P S.

Nie można!... choćby mi dano dochód z dwudziestu dwóch kantonów, jak powiedział ktoś, którym pogardzam, nie ruszyłbym się ztąd... ani ty... (*zatrzymuje Elżbietę, która chciała*

wyjsć głębia.) Oh nie, nie wyjdiesz, nie przestąpisz tych drzwi! Lękaj się mojego ramienia, bo ja wiem, że ty nie jesteś jedna z najmocniejszych. Jestem odźwiernym więzienia, człowiekiem ze stali, żelaza, nic mię nie wzruszy, nie, jestem granit, skała! Tak, skała! twarda skała!

E L Ź B I E T A.

Nie masz więc litości!

S C H N A P S.

Skała nie ma litości; jeżeli są skały, które mają litość, ja jestem...

E L Ź B I E T A.

Okrutny!

S C H N A P S.

Niech i tak będzie, wolno ci mówić, co ci się tylko podoba, ale go widzieć nie będziesz, nie! *(mocno)* Nie! nie!

(Elżbieta chciała się oddalić, on ją zatrzymuje)

E L Ź B I E T A.

Ah to okropność, Max tak blisko i nie mogę...

S H H N A P S.

Ehe, i nie możesz!...

E L Ź B I E T A.

Jestem uwięziona! *(chce iść w głąb, Schnaps za nią.)*

SCENA XVII.

SCHNAPS, MULNER. *(w głębi)* ELŻBIETA.

(Schnaps i Elżbieta są w głębi kiedy Mulner się ukazuje. Ta scena bardzo żywo powinna być grana.)

ELŻBIETA. *(do Mulnera)*

Ah panie, błagam cię!

MULNER. *(wzruszony i oddalając ją łagodnie.)*

Puść mię moje dziecię. *(do Schnapsa)* Czujesz to Schnaps, że to dłużej tak być nie może.

SCHNAPS. *(spokojnie, mówiąc jednocześnie z Mulnerem)*

Ah tak właśnie... właśnie o to tu idzie!... jest tu coś ciekawego... *(mówi ciągle do Mulnera, kiedy on i Elżbieta wyjaśniają sobie rzecz całą)*
Ona wszystko opuściła, dom, rodzinę...i wszystko.

M U L N E R.

Przymusić mię biedz za sobą!

E L Ź B I E T A.

Panie Mulner, błagam cię.

M U L N E R.

Nie moje dziecko, cierpliwość stryja ma swoje granice. Od tej chwili już nie chcę usług Schnapsa.

SCHNAPS. (*który ciągle mówi*)

Zupełnie mię nie rozumiesz... zupełnie mię nie rozumiesz... gdybyś mię słuchał, byłbyś sobie oszczędził... Panna chce koniecznie...

ELŻBIETA.

Tak panie, nie chcę dłużej ani chwili tu pozostać.

MULNER.

Oh za pozwoleniem, ani dla widzenia Maxa, ani dla oddalenia się, jesteś uwięzioną.

ELŻBIETA.

Uwięzioną?! ja?!

SCHNAPS. (*n. s.*)

Oh! (*wchodzi w środek i cicho do Elżbiety, popychając ją na lewo*) Daj mu pokój, niech mówi co chce... stary człowiek... ma swoje myśli...

ELŻBIETA.

Ale ja tu przyszłam dobrowolnie.

MULNER.

My cokolwiek dopomogliśmy ci, moja piękna uwięziona!

ELŻBIETA.

Jeszcze!

SCHNAPS. (*do Mulnera, oddalając go na prawo*)

Zostaw ją w błędzie... to młode... to ma swoje myśli.

E L Ź B I E T A.

Odwołuję się do pana Schnapsa, wie dobrze, że go prosiła o gościnność.

SCHNAPS. (*n. s.*)

Otóż mamy!

MULNER. (*rozgniewany*)

No odpowiedź jej, że to ja kazałem ją przytrzymać, i że ty przyprowadziłeś ją tutaj.

SCHNAPS.

Prawdę mówisz...

ELŻBIETA. (*żywo i z gniewem*)
Jakto?

MULNER. (*j. w.*)

Co?

SCHNAPS. (*mocniej od obojga*)

Oboje macie słuszność, ale mówmy o czem innem. (*spokojnie*) Ja myślę, że będzie zmiana... bo mię nogi bolą.

E L Ź B I E T A.

Ah to za wiele!

M U L N E R.

Tak, to za wiele! Idźmy do Maxa, musimy coś ułożyć, bo od rana już nie żyję... głowa tak mię boli... (*oddala się głębia*)

E L Ź B I E T A.

Jako? pan oddalas się nie zostawiwszy mi na-

wet nadziei? (*dościga Mulnera we drzwiach i lewą ręką chwyta prawą jego rękę*) Oh ja cię nie puszcze, dopóki nie zobaczę Maxa... nie odstąpię cię na krok.

SCHNAPS. (*idzie żywo do Elżbiety, lewą ręką bierze prawą jej rękę, tak, że wszystkie trzy osoby odwrócone do publiczności stoją w ten sposób Schnaps, Elżbieta, Mulner*)

A ja ciebie nie odstąpię; będziemy się trzymać wszystko troje.

(*Mulner się uwalnia, wchodzi do więzienia Maxa, drzwi w głębi zostają otwarte*)

SCENA XVIII.

SCHNAPS i ELŻBIETA, później MULNER. (*za sceną*)

SCHNAPS. (*wracając Elżbietę*)

A więc, posłuchaj mnie!... jeżeli ci tak idzie o męża, jak uważam... ja się z tobą ożenię.

E L Ź B I E T A.

Ale ja cię nie kocham... jabyś cię nigdy kochać nie mogła.

SCHNAPS. (*mocno i z wybuchem*)

Ani ja ciebie! oh wielki Boże! ani ja ciebie!

MULNER. (*za sceną*)

O nieba! nie ma go! (*wraca prędko.*)

Tom II.

9.

SCENA XIX.

SCHNAPS, MULNER, ELŻBIETA.

MULNER. (*wchodząc na scenę, przychodzi do Schnapsa i krzyczy z całej siły*)

Schnaps!

SCHNAPS. (*krzycząc*)

Co?

MULNER. (*j. w.*)

Uciekł!

SCHNAPS. (*j. w.*)

Kto?!

MULNER. (*j. w.*)

Max!

SCHNAPS. (*j. w.*)

Max?!

MULNER. (*j. w.*)

Oknem!

SCHNAPS. (*j. w.*)

Ah do sto tysięcy djabłów!... (*zniżając głos*)
to nikiemny człowiek.

E L Ź B I E T A.

Oh! pobiegnę za nim!

M U L N E R.

Ty? oh za pozwoleniem.

S C H N A P S.

Tak, jeżeli na to pozwolimy.

M U L N E R.

Jesteś uwięzioną! (*do Schnapsa*) Zamknij drzwi.

S C H N A P S.

Jesteś uwięzioną, zamknij drzwi.

M U L N E R.

Ale przecież...

S C H N A P S.

Ah prawda. (*zamyka drzwi i trzaska drzwiami*) Co to jest rozpacz!

E L Ź B I E T A.

Ale to postępowanie ze mną?...

SCHNAPS. (*przy oknie*)

Czekajcie... spostrzegam...

M U L N E R.

Kogo?

S C H N A P S.

Dwie osoby; nie, dwóch ludzi rozmawiających.

M U L N E R.

Biegnij prędko.

S C H N A P S.

Nie... omyliłem się... to są dwa worki mąki... (*po pauzie*) patrzcie, ruszają rękoma... (*po pauzie z wybuchem*) ah do pięć kroć set milion milionów!... (*wybiega drzwiami na prawo*)

SCENA XX.

MULNER, ELŻBIETA, później SCHNAPS(*za sceną*).

E L Ź B I E T A.

Jakto panie, Max jest tutaj, mogę go widzieć, mogłabym być szczęśliwą, i pan mi zabraniasz!...

M U L N E R.

Uciec z nim razem?... tegoby tylko brakowało; nietylko nie pozwolę ci iść za nim, ale proszę, abyś weszła do téj izby i to natychmiast. (*prowadzi ją na lewo.*)

E L Ź B I E T A.

Pan mię zamykasz!

MULNER. (*zamykając*)

Mam klucz, teraz jestem spokojny!

SCHNAPS. (*za sceną*)

Nie puszczę cię, pójdź, pójdź, do milion... pójdźże tedy...

MULNER. (*z radością*)

Złapał go!

SCENA XXI.

MULNER, SCHNAPS, MAX, potem MINA.

SCHNAPS. (*ciągnąc Maxa*)

Otóż jest... mam go!... to on!...

M A X.

Puszczaj mię.

SCHNAPS. (*wściekły*)

Nie, przyczepilem się do ciebie jak bluszcz do drzewa.

M U L N E R.

Schnaps, puść pana.

S C H N A P S.

Dobrze, ale ja sobą drzwi zatarassuję (*strzeże drzwi w głębi, Mina wchodzi z prawej. Postępuje trwożliwie, zdaje się być zawstydzoną*) -

M A X.

Panie Mulner, wydaj wyrok, poddaję się zupełnie..

MULNER. (*z radością*)

Ah przecież mówi rozsądnie!... Ożeń się z nią, a wszystko zapomniane!

MINA. (*prędko*)

Mój ojczel!...

M A X.

Panie Burmistrzu.. ale panienkami nie kocha.

M U L N E R.

Jakto?

M I N A.

Nie, mój ojczel:

S C H N A P S.

Co!... (*n. s.*) To tylko udanie... ona jęczy na osobnościll

MULNER. (*śmiejąc się*)

Ale ja wiem o tem, że ona ciebie nie kocha.
I któż u kata mówi ci o mojej córce? Ja mówię
o Elzbiecie.

MAX. (*prędko*)

Elżbieta? Co słyszę? gdzie ona jest?

M U L N E R.

Tutaj, wiesz o tem dobrze.

M A X.

Tu? Jakto? Jestżeś pan pewny?

MULNER. (*śmiejąc się*)

Ah ha! bierzesz mię za człowieka bez głowy?
Przecież was oboje przytrzymałem.

M A X.

Mylisz się pan, to nie ona.

MULNER. (*z gniewem*)

Ah! (*idzie do drzwi na lewo.*)

SCHNAPS. (*do Miny*)

Ten biedny stryj plecie z taką dobroduszo-
ścią, że mię roztkliwia.

MULNER. (*otworzywszy*)

Proszę, mościa panno.

SCENA XXII I OSTATNIA

ELZBIETA, MAX, SCHNAPS, MINA, MULNER.

E L Ź B I E T A.

Max!

MAX. (*poznaając ją*)

Co widzę! to ty!... Elzbieta! Elzbieta!

SCHNAPS (*n. s. wesóło*)

To ją pokrzepił!

MULNER. (*zartując*)

To ty! Elzbieta!... No cóż, przyznacie się teraz, żeście oboje razem byli na górze? (*przechodzi na prawo*)

M A X.

Razem?...

SCHNAPS (*przechodząc między Maxa i Minę*)

Ani słowa...

M A X.

Ale ktoś pana tak dobrze uwiadomił?

M U L N E R.

List Ulryka!

E L Ź B I E T A.

Mojego ojca?

M U L N E R.

Który wam przebacza i donosi, że twój przeciwnik żyje!

M A X.

Byłoby to prawdą?

E L Ź B I E T A.

Mój dobry ojciec!

SCHNAPS. (*z zapalem*)

Ale jaki ojciec!... Otóż to mi ojciec, który przebacza i który donosi, że przeciwnicy nasi żyją...

MINA. (*do Schnapsa*)

Cicho!...

SCHNAPS. (*do Marzy*)

Cicho!...

M A X.

Ale przecież na górze..?:

SCHNAPS. (*prosząc*)

Milczenie... dla niej.

MINA. (*podając mu rękę*)

Jesteś dobrym kuzynem.

S C H N A P S.

Co?

M I N A.

Przyjmij.

SCHNAPS. (*w zbytku radości i zadziwienia*)

Jako Mina! o Boże!... czy to nie figiel, czy nie-
clichesz sobie żartować ze mnie.

M I N A.

Nie, mój dobry kuzynie.

SCHNAPS. (*odchodząc od siebie*)

Biorę ją, biorę! o Mino! Mino! teraz już nigdy u mnie kwaśnej miny nie zobaczysz! (*ściska ją po kilkakroć, do Mulnera*) Mój stryju, są chwile w życiu ludzkim, gdziebyśmy chcieli mieć cztery ręce, a ja mam tylko dwoje... jakżem nieszczęśliwy!

M U L N E R.

No, no, uspokój się.

S C H N A P S.

Jesteś Królem Burmistrzów Aty Max, ty Elżbieto (*idzie do nich*) czy wy rozumiecie co mi się przytrafia, ja żenię się z moją kuzynką. Mina będzie moją żoną! Dwanaście czy piętnaścioro dzieci, które mieć będziemy, wszystko to będą małe Maxy, a nie małe Schnapsy... to jest... (*porozumiewa się*) Nie, to będą małe Schnapsy, a nie małe Maxy... Przebacz panie wojskowy... u mnie w głowie się przewraca... (*rzuca się w objęcia Maxa*) Niech żyje Mina! niech żyje mój stryj! niech żyje Król sardyński! i wszyscy jego wojskowi i ich małżonki! (*z miną omdlałą*) Ah do kroćset.. utrudziłem się jak nieszczęśliwy!

M U L N E R.

Wierzę bardzo... ochrypłeś, rzucasz się, machasz... sam nie wiem gdzie jestem... tak mię wzruszył... (płacze)

SCHNAPS. (zbliża się do Mulnera i wpatruje się w niego z uwagą)

Oświadczam że płaczesz... Ah, co za dobry znak! ah! co za przedziwny znak!

M I N A.

Mój ojcie!

M U L N E R.

Otóż to są kaprysy kobiece!

SCHNAPS. (z gniewem)

Oh kobiety... kobiety! (zmieniając ton i wesoło) jednakże ich potrzeba!

SPIEW NRO 9.

(do publiczności)

Kto nie przyzna z was panowie,
Ze dla kobiet cierpiał skrycie,

A jednak każdy to powie,

One tylko słodzą życie,

Gdy więc takie o nich zdanie,

Cel naszych życzeń jedyny,

Prosić was o pobłazanie

Dla wszystkich (wskazując Minę), przez
wzgląd dla Miny.

K O N I E C.

TEOBALD

CZYLI

POWRÓT.

KOMEDJO-OPERA

W JEDNYM AKCIE

pp. Scribe i Varner.

z francuzkiego przełożona.

MUZYKA WALENTEGO KRATZERA.



GRANA PIERWSZY RAZ NA

TEATRZE ROZMAITOŚCI

dnia 5 Lutego 1831 roku.

O S O B Y.

RAJMOND, doktor JP. *Szymanowski.*

BERNARDET, substytut prokuratora — — JP. *Panczykowski.*

PANI DE LORMOY JPi *Rembecka.*

CELINA, jej wnuczka JPa. *Daszkiewicz.*

BARONOWA SAINVILLE, jej synowica — — JPa. *Rostkowska.*

TEOBALD, oficer JP. *Jasiński.*

LEON.

Slużący.

(*Scena w Bordeaux, w domu Pani de Lermoy.*)

TEOBALD.

(Scena przedstawia salon, drzwi w głębi, dwoje bocznych, po prawej aktorów pokoje Pani de Lormoy. W drugiej kulisie po prawej i lewej drzwi do dwóch gabinetów. Na przodzie sceny po prawej, stół, kałamarz, papier, pióra i t.p.)

SCENA I.

CELINA, BARONOWA, P. DE LORMOY,
BERNARDET.

(Za podniesieniem zastony, wszyscy siedzą przy okrągłym stole na lewo i piją śniadanie. Służący stoi za krzesłem Pani de Lormoy.)

BERNARDET. *(podając filiżankę)*

Cokolwiek tylko dla mojej przyszłej matki.

C E L I N A.

Bądź pan spokojny... wiem co jej potrzeba.

B E R N A R D E T.

Pamiętasz Pani co mówi doktor, im kto jest słabszy, mniej jeść powinien, i zachowując tę djety, zwolna do sił powracamy.

P A N I D E L O R M O Y.

Mając się już daleko lepiej, sędzę, że mogłabym cokolwiek odstąpić od przepisanej djety..

C E L I N A.

Czekajmy na doktora matko.

P. DE LORMOY.

Ale czy przyjdzie dziś?

B E R N A R D E T.

Idę od niego.. to jest doktor najbardziej zatrudniony ze wszystkich doktorów w Bordeaux. Już wyszedł, ale za powrotem nam go przysłał, a więc dopóki nie przyjdzie nic więcej nad przepis... (*wstają, lokaj wynosi stół i ustawia krzesła*) Tak moja przyszła matko, ja, jako zastępca prokuratora, z obowiązku mojego dogłądać muszę, aby co do joty wypełniano rozkazy.

B A R O N O W A.

Oh to prawda, wy panowie urzędnicy, jesteście tak surowi...

B E R N A R D E T.

Być może w miejscu urzędowania, nasze powołanie tego wymaga. Ja na przykład domagam się codziennie o wyroki kary; jestem postrachem występnych; mam postać bardzo złego... (*do Celiny*) Tak pani, codziennie się gniewam, ale nigdy gniew ten nie jest na mój rachunek, zawsze, dla społeczeństwa i moralności... Jak tylko złożę powagę urzędnika publicznego, jestem

człowiek najśłodszy, najłagodniejszy... będę mężem wybornym... kiedy szanowna pani de Lormoy zechce pozwolić, gdyż oddawna już nasza sprawa wniesiona.

P. DE LORMOY (*do Celinę*)

Ten związek był najszczerzem życzeniem twojej matki; ja sama nie pragnęłabym innego, (*do Bernardet*) gdyby tylko jej brat, mój wnuk był tutaj.

B E R N A R D E T.

Tak, ale ponieważ go nie ma, gdy mnie wyższa.....

P. DE LORMOY.

Oh! on powróci... nie mów przeciwnie, proszę.

B E R N A R D E T.

Ah niech mię Bóg bron!... Ale ja sędzę, że czekając na brata, siostra mogłaby iść za mąż.

C E L I N A.

Oh nie, moja matko, nie. Szczęścia mojego, (jeżeli nim ma być dzień mojego wesela), i on świadkiem być powinien, inaczej w tłumie obcych jego tylko upatrywać będziesz moja matko, a moje szczęście zająć cię nie zdoła.

B E R N A R D E T (*n. s.*)

Nigdy nie widział młodej panny, którejby tak nie było pilno iść za mąż.

I

P. DE LORMOY.

Bądź cierpliwy panie Bernardet. Wszakże co chwila może powrócić, nie prawdaż Baronowo?

B A R O N O W A.

Tak jest moja ciotko.

P. DE LORMOY.

Ty również jak my z utęsknieniem oczekujesz jego powrotu, kochałaś mojego Leona, miał się z tobą połączyć... Czyliż nam nie mówiono wczoraj, że syn pani Valbelle, o którego śmierci wszystkie pisma publiczne doniosły, nagle powrócił w chwili, kiedy go się najmniej spodziewano? (*widząc, że Celina i Baronowa odwracają głowy*) Cóż to ma znaczyć, widzę lzy w waszych oczach.

B A R O N O W A.

Nie moja ciotko.

P. DE LORMOY.

Ty wiesz zapewne coś...

B A R O N O W A.

Nie, nic... zupełnie nic... i to właśnie mię w smutku pogrąża.

P. DE LORMOY.

A mię to właśnie uspokaja względem losu mojego wnuka, twojego przyszłego. Dopóki nie mamy o nim nowin, mogą być pomysły... i a-

by mi tylko nie odejmowano nadziei... Już tak długo w niej żyję...

B E R N A R D E T.

Właśnie tego zrozumieć nie mogę... ażebyś pani kochając tak swego wnuka, mogła żyć tak długo zdala od niego; i nie znalazła jakiego sposobu połączenia się z nim.

P. DE LORMOY.

I jakżeś pan chciał?...

C E L I N A.

Matko, to cię utrudza...

P. DE LORMOY.

Nie, nie; mówiąc o moich dzieciach nie utrudzam się nigdy. Przypominasz pan sobie, że cała nasza familja pojechała do Anglji, i gdy dozwolono mojemu zięciowi wrócić do Francji, przywiózł ze sobą swego syna Leona, który miał natenczas lat ośm, powierzając moim staraniom żonę, zbyt cierpiącą, aby mu towarzyszyć mogła, i moją małą Celinę, która wtenczas ujrzała światło dzienne.

CELINA. (*do Baronowej*)

Urodziłam się więc w Ameryce.

B E R N A R D E T.

To wiem bardzo dobrze... Ale później nie mogłaś się pani z niemi połączyć?

P. DE LORMOY.

Później wojna wybuchła.

C E L I N A.

Zabroniono nam płynąć.

P. DE LORMOY.

I kiedy po długiem oddaleniu wróciłyśmy o-
biedwie do Francji... obiedwie, bo jej matka
oddawna rozstała się z tym światem, mój zjęć
już nie żył, a mój Leon wszedłszy do wojska u-
dał się do Hiszpanji.

B E R N A R D E T.

To prawda... wszyscyśmy tam byli... Tak jak
mnie pani widzisz... dałem zastępcę... i byłem
wszędzie... Ale przynajmniej listy jego są pocie-
chą dla serca pani.

C E L I N A.

Listy, które do mnie pisał są tak tkliwe, żeś-
my się natychmiast w sobie pokochali, tak jak
gdybyśmy razem byli wychowani... I zdaje mi
się, że jak go zobaczę, poznam go natychmiast.

P. DE LORMOY.

I ja tego pewna jestem... Mam go przed mo-
jemi oczyma... tak sędzę przynajmniej, i to wy-
obrażenie, niepewność, tworzą najslodsze ma-
rzenia macierzyńskiej miłości... Jeżeli zobaczę

jakiego młodzieńca, przyjemnego, kształtnego, mówię sobie: «Mój wnuk takim być musi.» Jeżeli słyszę mówiących o jakim pięknym postępku, o szlachetności serca, powtarzam sobie: «Takby mój wnuk czynił.» Z upodobaniem zdobię go w to wszystko, co go kochać każe i zdaje mi się, że go więcej za to kocham.

B E R N A R D E T.

Niechże teraz powiedzą, że nieobecny zawsze traci... (*słysząc riturnellę następnej śpiewki*)

C E L I N A.

Mamo, to pan Rajmund.

SCENA II.

CELINA, PANI DE LORMOY, RAJMUND,
BARONOWA, BERNARDET.

R A J M U N D.

ŚPIEW NRO 1.

Jak doktor biegły uczony,
Zwiedzam panny, wdowy, żony,
Zawsze zdrow, a choć już siwy,
Dla wszystkich moich klientów
W mej osobie dowód żywy
Zbyt rzadkich teraz talentów.

P. DELORMOY. (*mówi*)

Czy po śniadaniu.

RAJMUND. (*mówi*)

Już oddawna.

(*Spiewa.*) Strzegę się jak ognia głodu,
Jem od wschodu do zachodu.
Choć diety przepisuję,
Sam wielki wstręt do nich czuję;
Jak doktor, biegły, uczony,
Zwiedzam panny, wdowy, żony.

B E R N A R D E T.

Zapewne ci powiedziano doktorze, że byłem
u ciebie.

R A J M U N D.

Nie wcale, przyszedłem z własnego natchnie-
nia; bo nie byłem jeszcze w mojem mieszkaniu.

B E R N A R D E T.

Zastaniesz pan u siebie gości... Jakiś młody
człowiek, przystojny... oczekuje cię z niecier-
pliwością. Przyjechał z Moutauban.

R A J M U N D.

Znowu o poradę.

B E R N A R D E T.

I kiedym mu oświadczył, że może dopiero
na obiad wrócisz; »będę czekał« odpowiedział
krótko.

R A J M U N D.

Będzie więc czekał do wieczora; gdyż jestem

na cbiedzie u prefekta... a wyszedłszy ztąd nie mam ani chwili wolnej; wizyty nieodbicie potrzebne, chorzy w ostatnim stopniu, bez nadziei.

ŚPIEW NRO 2.

Sumienie mi nakazuje
Odwiedzać ilekroć życzy.
Widząc mię, bólu nie czuje
Jam pewien rodzaj słodczy.
Niech doktor z nadzieją śpieszy,
Choć śmierć już do siebie woła,
Niech przynajmniej go pocieszy,
Kiedy uleczyć nie zdoła.

C E L I N A.

Nie możesz pan przecię odmówić pomocy
młodzieńcowi, który dla porady przyjechał o
trzydzieści mil.

B E R N A R D E T.

Pocztą.

R A J M U N D.

Jakto pocztą przyjechał?

B E R N A R D E T.

Kocz i trzy konie stały przed drzwiami... jeszcze zaprężone...

R A J M U N D.

Al! to co innego... kocz i trzy konie... Będzie

mi bardzo na przeszkodzie; ale cóż czynić? trzeba dowiedzieć się o co idzie.

C E L I N A.

A więc kocz i trzy konie pocztowe mają jakiego związku z chorobą?

R A J M U N D.

Bezwątpienia, wielki związek nawet; to dowodzi, że to jest choroba gwałtowna, pilnego ratunku potrzebująca, kiedy aż pocztę bierze... Dziś o piątej godzinie umyślnie pójdę do domu. (*biorąc puls P. de Lormoy*) No lepiej, daleko lepiej... puls nieco przyspieszony... jeszcze wzruszenie... pewno pani mówiono o jej wnuku.

P. DE LORMOY.

Prawda, to mi tak przyjemnie.

R A J M U N D.

Ale szkodzi, tak, tak szkodzi, pamiętaj pani, że zaledwie przychodzisz do zdrowia (*Bernardet wchodzi między Celinę i P. de Lormoy*) ze słabości straszliwej, która wymagała całego mojego starania. Byłem w wielkiej obawie i pani także, przyznaj sama.

P. DE LORMOY.

Nie obawiałam się śmierci... ale myśli, że nie zobaczę mojego Leona.

R A J M U N D.

Ale powróci, powróci to kochane dziecko, które tak kocham jak ty pani... ja byłem przy jego urodzeniu, ja mu szczepiłem ospę... Powróci, ja ręczę... i zadziwisz się pani, kiedy ci go przyprowadzę.

P. DE LORMOY.

Zadziwię się!... nie wcale, bo go oczekuję ciągle... Codzień wstając, mówię sobie: „Dziś zobaczę mojego Leona.”

R A J M U N D.

Otóż znowu zaczynamy. Zakazuję pani mówić o nim więcej, powinnaś strzedz się wzruszenia... spokojność jest najpierwszą twoją potrzebą pani.

P. DE LORMOY.

Pójdę więc do mojego pokoja... nie przyjmę nikogo... nie będę słuchać mówiących...

R A J M U N D.

To dobrze.

B E R N A R D E T.

Pozwól pani wspierać twoje kroki, jako zięć i czciciel lat podeszłych, mam sobie to za największą przyjemność.

(*Celina z lewej strony wspiera P. de Lormoy.*)

P. DE LORMOY.

Potrzebuję bardzo twojej pomocy, ale mam
Tom II. 2.

nadzieję, że niedługo Leon będzie moją podporą... (*Pani de Lormoy, wsparta na P. Bernar-
det i Celinie wchodzi do swego pokoju*)

SCENA III.

CELINA, REJMUND, BARONOWA.

(*Rajmund zatrzymując Celinę, która chciała
wéjść z p. de Lormoy.*)

R A J M U N D.

Bardzo źle czynisz moje dziecko, że jej mówisz o twoim bracie... W takim razie, trzeba roztropności... wszakże my sami tylko wiemy tajemnicę... bo na nieszczęście nie ma wątpliwości, że Leon już nie żyje.

BARONOWA. (*chwiejąc się*)

Wielki Boże!

R A J M U N D.

No, no, cóż to jest?

CELINA. (*do Rajmunda*)

Cóżeś pan uczynił?... (*do Baronowej*) Zofjo...
Zofjo... to nieprawda.

R A J M U N D.

W istocie, to nieprawda... Nie myślałem, że to przy jego kuzynce!... W tym domu nie powianoby się nigdy mówić... Przebacz mi Baro-

nowo, ja sam nie wiem co mówię... to jest tylko obawa bez żadnego dowodu.

B A R O N O W A.

Czy tak?

R A J M U N D.

A potem, my doktorowie, mylimy się tak często... Miałem stu chorych, których już sądziłem za umarłych, a w kilka tygodni spotykałem na ulicy, i vice versa.

B A R O N O W A.

To być może... wierzę ci doktorze... ale jednakże cierpię wiele.

R A J M U N D.

To moja wina, to rezultat tej przekłętą rozmowy... Sądźcie teraz panie o wrażeniu, jakie czyni na pani de Lormoy.

CELINA. (*z niespokojnością*)

Więc ona jest bardzo chora?

R A J M U N D.

O nie, ale osłabiona... nie zniósłaby zbyt mocnego wzruszenia... Najmniejsze zagrozi jej zdrowiu, a nawet życiu.

CELINA. (*przerażona*)

Wielki Boże!

R A J M U N D.

Nie trwoż się pani... Można łatwo przy stara-

niu, przezorności... ale trzeba żebyście mię panie obiedwie słuchały w tym względzie (*do Baronowej*) Pani najprzód uczyn mi przyjemność i powróć do siebie, gdyż ten dom wcale nie dla pani... trzeba przejść się... uspokoić nieco...

B A R O N O W A.

Mój powóz dopiero za kilka godzin przyjedzie.

R A J M U N D.

Mój na dole jest na pani rozkazy.

B A R O N O W A.

A wizyty pańskie?.. ten młody człowiek z Montauban?...

R A J M U N D.

Zaraz się z nim zobaczę... co się tycze innych wizyt, oczekując mojego powozu, bliższe odbędę pieszo... do tych klientów, gdzie moja reputacja już ustalona, a dla nich nie potrzebuję powozu, lubo proszę wierzyć, że...

SPIEW NRO 3.

Nie ma żadnej wątpliwości

To doktora sławie szkodzi,

Za nic talent i zdolności,

Gdy piechotą doktor chodzi.

Choćby był lekarzy wzorem,

Choćby znał medyczne tema,

Doktór gdy powozu nie ma,
Jest bardzo lichym doktorem.

(*do Celiny*) Pani pójdiesz do swojej babki...
jest bardzo niespokojna, wzruszona; będę się
starał to złe naprawić. To będzie przedmiotem
nowej recepty, którą zapiszę dla pani de Lormoy,
(*do Baronowej*) ta recepta i dla pani by się
przydała... zapiszę kilka kropel mojego elixiru.
(*siada przy stole i pisze.*)

CELINA I BARONOWA. (*odchodząc*)

Żegnam. (*Baronowa wychodzi środkowymi
drzwiami, Celina do pokoju p. de Lormoy.*)

SCENA IV.

RAJMUND. (*siedzi przy stole*) później TEOBALD.

RAJMUND. (*pisząc*)

Spieszmy się z receptą... i dalej do wizyt...
Ten młody człowiek z Montauban, kto to być
może?... powóz, trzy konie... syn prefekta...

TEOBALD. (*wchodzi drzwiami w głębi n. s.
nie widząc Rajmunda.*)

Jestem nakoniec u pani de Lormoy... sądzi-
łem, że nigdy nie będę miał dosyć odwagi przyjsć
aż tutaj... zlecenie, które mam dopełnić, jest
tak bolesne...

RAJMUND. (*postrzegając Teobalda, ale pisząc ciągle.*

Jakiś nieznajomy.

TEOBALD. (*postrzega Rajmunda*)

Panie!

RAJMUND. (*n. s.*)

Do mnie ma interes... może konsilium... może to ten młody człowiek z Montauban! sprzykrzyło mu się czekać... (*wstaje i idzie do Teobalda*) Mości panie, czemże mu służyć mogę?

T E O B A L D.

Chciałbym mówić z panią de Lormoy.

RAJMUND. (*n. s.*)

Omyliłem się, to nie chory... (*głośno*) Teraz nie może przyjąć pana.

T E O B A L D.

Czy tak pan sądzisz?

R A J M U N D.

Muszę wiedzieć... jestem jej doktorem.

T E O B A L D.

Tęm lep ej... mogę tedy Panu powiedzieć...

R A J M U N D.

Proszę mi przebaczyć, ale mam chorych, którzy na mnie czekają, a którzyby może jutro już nie czekali na mnie, gdybym tu dłużej za-

bawił... Pójdę do pani de Lormoy, i przysłę
tu panu jejwnuczkę, albo każę uwiadomić jej
męża.

TEOBALD.

Męża?... czy panna Celina już jest zamężną?

RAJMUND.

Jeszcze nie; ale to niedługo nastąpi. Wszy-
stko już ułożone... Idzie tylko o dokonanie zwy-
czajnych formalności: a potem... pan rozumiesz..

TEOBALD. (*skłopotany*)

Zupełnie.

RAJMUND. (*n. s.*)

Ten człowiek ma postać spóźnionego aspi-
ranta.

SPIEW NRO 4.

Pamiętajcie na przysłowie:

Kto się spóźnia, zwykle traci,

Czas monetą jedną płaci,

Pamiętajcie kochankowie,

Małżonkowie,

Doktorowie.

(*Podczas śpiewki, Teobald siada pogrążo-
ny w myślach; doktor go żegna, a widząc, że
Teobald tego nie uważa, wchodzi do pokoju
pani de Lormoy.*)

SCENA V.

TEOBALD. (*sam*)

Nieszczęśliwy Leonie! jak zdołam dopełnić smutnej powinności, którą twoja przyjaźń na mnie włożyła?... Jakiegoż doznałem wzruszenia, wchodząc do tego domu, na łono téj rodziny, której nigdy nie widziałem, a którą znam tak dokładnie!... Ten doktor, to musi być pan Rajmund, ta młoda dama, która wsiadała do powozu kiedyś tu wchodził, zapewne Zofja... ta wdowa, jego kuzynka, którą uwielbiał... Biedna!... A Celina!... jego siostra, przedmiot bezustannych naszych rozmów, czytanie jej listów było naszą codzienną zabawą... ta, którą mi przeznaczał, i którą już przyzwyczaiłem się kochać. Jest zaręczoną... połączoną z innym! Chwila, która nas do siebie zbliża, jest chwilą wiecznego rozdziału... Miłości! przyjaźni! nadziejo!... tracąc was, wszystko Teobald utracił! (*patrząc do koła*) Nikogo nie widać, tém lepiej. Ta chwila byłaby okropną... Ci krewni... ta rodzina w smutku pogrążona... jak im to powiedzieć?... Gdybym kilką wyrazami mógł ich przygotować do tej smutnej wiadomości?... Napiszmy (*siada i pisze:*)

»Pani!

»Nazywam się Teobald... Towarzysz Leona,
 »twojego wnuka, służyliśmy razem, łączyła nas
 »przyjaźń najściślejsza. W jednych niebezpie-
 »czeństwach, jednego doznaliśmy losu, zabrani
 »w niewolę i zamknięci w fortecy... Po pięciu
 »miesiącach znaleźliśmy sposób ucieczki; ale je-
 »den tylko mógł z niego korzystać.. Leon, powo-
 »dowany wspaniałomyślną przyjaźnią, chciał, a-
 »bym ja cieszył się uwolnieniem... Ja byłem
 »sierotą, a więc on pojechał.« *(przestaje pisać)*
 Ah przypominam sobie jeszcze jego ostatnie wy-
 razy: »Jeżeli polegnę w mojej ucieczce, jeżeli
 szczęśliwszy odemnie będziesz, zanieś mojej
 kochanej matce i siostrze *(dobywając z kie-
 szeni)* tę miniaturę... te listy, które mi przesyła-
 li. Staraj się osładzać ich cierpienia... nade-
 wszystko oszczędzaj serce matki... zajmuj mo-
 je miejsce obok niej. Stań się jej podporą,
 wsparciem mojej siostry.« *(kłada na stole
 miniaturę i listy i biorąc pióro)* Ah jak dokoń-
 czyć?... jak opisać resztę? *(wstaje)* Z okien mo-
 jego więzienia widziałem żołnierzy z fortecy
 strzelających na tę łódkę, która unosiła nie-

szczęśliwego przyjaciela... Raniony, krwią okryty, widziałem go jak wpadł w wodę i znikł w jej otchłani... Ah nie... ten obraz zakryjmy przed ich oczyma. (*bierze list, składa go i gdy Bernardet wchodzi, trzyma go w ręku.*)

SCENA VI.

TEOBALD, BERNARDET.

BERNARDET. (*wchodzi środkowemi drzwiami i mówi do służącego*)

Jakiś pan chce ze mną mówić?.. (*widząc Teobalda*) To on bezwątpienia.

TEOBALD.

Proszę mi darować, chciałem widzieć się z panią de Lormoy.

BERNARDET.

Z moją matką?

TEOBALD. (*n.s.*)

Jego matką!... To on!

BERNARDET.

Niepodobna, w tej chwili nie przyjmuje nikogo.

TEOBALD.

To mi już mówiono... Ale ja chciałbym tylko... aby jej oddano ten list, który w tej chwili napisałem.

B E R N A R D E T.

List... pozwól pan... jeżeli interes, nie możemy być odpowiedzialni... doktor zabronił... Jest tak słabą w tej chwili, że najmniejsza przykrość byłaby niebezpieczną; a każde gwałtowne wzruszenie śmierćby zadało.

T E O B A L D.

Co słyszę! Będę więc czekał stosowniejszej chwili... sam z nią pomówię... To co mam jej powierzyć, wymaga takiej ostrożności... a wierz mi pan, że nie chciałbym...

B E R N A R D E T.

Jestem o tem przekonany... ale jako zastępca prokuratora, czy nie mógłbym wiedzieć?...

T E O B A L D.

Racz pan donieść tylko, że oficer przybyły z Hiszpanji, prosi ją o chwilę rozmowy.

B E R N A R D E T.

Pan przybywasz z Hiszpanji?... Widziałeś Leona, przynosisz zapewne jaką wiadomość...

T E O B A L D.

Proszę więcej ani słowa nad to, com powiedział.

B E R N A R D E T.

Ah to co innego... bardzo ją to ucieszy... (*słychać dzwontenie w pokoju P. de Lormoy*) To

pani de Lormoy, wejdź pan na chwilę (*wskazując gabinet po lewój aktorów*) abym ją tylko uprzedził.

TEOBALD. (*wchodząc do gabinetu*)

Dobrze, będę czekał...

SCENA VII.

BERNARDET. (*sam, patrząc za nim*)

W tém jest jakaś tajemnica... jest niezawodnie... Amy będąc przyzwyczajeni znaleźć i odkryć ją... (*zbliża się do stołu*) mnie naprzykład, potrzeba tylko drobnostki... śladu... a ten młody człowiek... to wzruszenie... (*spozstrzega miniaturę i pakiet listów, które Teobald zostawił na stole*) Czyjaż to miniatura?... Celiny... (*patrząc na listy*) pismo mojej narzeczonej, mojej matki pani de Lormoy (*bierze jeden czyta adres*) „Do pana Leona Favart, kapitana. « To on! to mój szwagier, to Leon!

SCENA VIII.

CELINA, P. DE LORMOY, BERNARDET,
potém TEOBALD,

P. DE LORMOY. (*weszła z Celiną, na ostatnie słowa P. Bernardet.*)

Mój syn?... kto mówił o moim synu?... Czy to ty Bernardet?

B E R N A R D E T.

Ja, moja matko, dzięki niebu wkrótce zostanę twoim zięciem.

P. DE LORMOY.

Co mówisz?

B E R N A R D E T.

Ja mówię, że jeżeli pani zechcesz rozsądnie się zachować, może dobre nowiny.

P. DE LORMOY.

Czy podobna?

B E R N A R D E T.

Ale trzeba mi przyrzec, że nie będzie zbytecznego wzruszenia.

P. DE LORMOY.

Jestem spokojną.. przysięgam... Szczęście nie jest sprawcą cierpienia.

B E R N A R D E T. (*pokazując im miniaturę i listy*)

A więc.. czy znasz pani tę miniaturę i te listy?

C E L I N A.

Te które pisałam do mojego brata?

P. DE LORMOY.

Do mojego syna.

B E R N A R D E T.

Cóżbyś pani powiedziała?... gdybym go mógł teraz ukazać twoim oczom?

P. DE LORMOY.

Co? zobaczę go?

Tom II.

3

BERNARDET. (*otwierając drzwi gabinetu*)
Pójdź w ich objęcia!

(*Pani de Lormoy i Celina wchodzą do gabinetu i w chwilę wychodzą z Teobaldem, którego przyciskają do siebie*)

P. DE LORMOY.

To ty... tak to ty... Niebo wysłuchało prośb moich... Przed śmiercią widzę cię jeszcze.

TEOBALD. (*n. s.*)

Boże! co za omyłka.

B E R N A R D E T.

Komuż pani winna to szczęście.. mnie...

T E O B A L D.

Lękam się... czy to niespodziewane...

P. DE LORMOY.

Mówiłam przed chwilą! i teraz doświadczam tego, że radość nie sprawia cierpienia... boleść tylko nas zabija...

TEOBALD. (*n. s.*)

Wielki Boże!

C E L I N A.

Biedny Leonie!... jego ręka drży.

T E O B A L D.

Tyle dobroci zawstydzia mię.

C E L I N A.

Oh to nie koniec...

SPIEW NRO 5.

Po tak długiem niewidzeniu,
Kiedys zwiedzał obce strony,
Sercu przyrzekłam w milczeniu,
Odzyskać czas utracony.
Tak wykonam co do joty.
To co było przedsięwziętém,
I piętnastu lat pieszczoty,
Oddam ci dzisiaj z procentem.

TEOBALD (n. s.)

Gdyby wiedziała...

B E R N A R D E T.

Ah trzeba uświęcić powrót Leona... obiad familijny... goście, radość, wrzawa... to nas rozrywa... zajmuje... nie pozwala być zbyt szczęśliwym... Tego ci właśnie trzeba moja matko.

P. DE LORMOY.

Nie jestem w stanie dawać rozkazy...

B E R N A R D E T.

To ja zastąpię jako szwagier... ja wszystkich zaproszę.

TEOBALD. (n. s.)

Co tu począć... komu się zwierzyć... Ah! do-
któr, którego tu widziałem...

P. DE LORMOY.

Cóż ci to?

TEOBALD. (*strwożony*)

Nie... ale... dawny przyjaciel domu, doktor Rajmund...

C E L I N A.

Który tego rana jeszcze mówił o tobie.

T E O B A L D.

Chciałbym się z nim widzieć, mam do niego ważne zlecenie, które najmniejszej zwłoki nie cierpi...

P. DE LORMOY.

Jutro przyjdzie o zwyczajnej godzinie... godzinie wizyty.

T E O B A L D.

Tak, ale wprzód chciałbym, aby odebrał ten list, do którego pragnę przydać kilka słów... (*siada do stołu i pisze.*)

C E L I N A.

Jeżeli tylko to... bądź spokojny... odbierze go dziś o piątej godzinie, powiedział, że o tej godzinie będzie u siebie (*do Bernardet*) Przy-pominasz pan sobie?

B E R N A R D E T.

- Tak w istocie... a dla większej pewności ja biorę na siebie doręczenie tego listu.

P. DE LORMOY.

I w tymże czasie (*biorąc p. Bernardet na le-*

wa stronę, gdy Teobald pisze) wstąpi do mojej siostrzenicy, do tej biednej Baronowej... Powiedz, że jej potrzebuję... niech przyjdzie... ale zaklinam cię ani słowa o Leonie. Nie wspominaj jej o szczęściu, które ją czeka... I on się nie mało ucieszy.

BERNARDET.

Bądź pani spokojną, już wiem. (*głośno*) Pan Leon ukończył już swoje depesze.

ŚPIEW NRO 6.

Podług adresu, list ten odnoszę,

Potem wypełnię pani zlecenie,

Baronowę tutaj zaproszę,

Zachowam jednak ściśle milczenie.

P. DE LORMOY (*mówi*)

Ależ kucharz... żebyś się pan nie spóźnił...

BERNARDET. (*śpiewa*)

Obiegłszy wszystkich, wnet żywym krokiem,

Dalej do kuchni, wprost do kucharza,

Prawnik się może spóźnić z wyrokiem,

Ale na obiad, to się nie zdarza.

(*po śpiewce wychodzi*)

SCENA IX.

TEOBALD, PANI DE LORMOY, CELKA.

P. DE LORMOY.

Zostawia nas, nie gniewa mię to wcale .. twój

3*

widok tak mi drogi, że potrzebuję sama tylko nim się cieszyć.

CELINA. (*uśmiechając się*)

Ale i mnie także wolno, i ja chcę także, (*przechodzi na prawo Teobalda*) No mój bracie, trzeba się podzielić...

TEOBALD. (*n. s.*)

A to męczarnie!

P. DE LORMOY.

Musisz nam opowiedzieć wszystkie twoje czyny... twoje cierpienia...

C E L I N A.

Mam cię pytać o tyle rzeczy i tyle ci powiedzieć! szczególnie ja... Gdybyś wiedział ile razy pragnęłam cię widzieć! mówiłam sobie: »Gdyby mój brat był przy mnie, byłby moim powiernikiem, moim przyjacielem, nie znałabym smutku! «

P. DE LORMOY.

Jakto?

C E L I N A.

Wiem dobrze matko, że ty jesteś tak dobrą, ale to nie wszystko jedno. Mamy zawsze w głębi serca, myśli, tajemnice... które się nie śmie powierzyć nikomu, tylko sobie samej, albo swojemu bratu... Dla tego też tyle ci mam powiedzieć... zacząwszy od małżeństwa.

T E O B A L D.

Małżeństwa...

P. DE LORMOY.

Czyliżby przypadkiem?...

C E L I N A.

Nie mam, to nie, to nie... Powiem to mojemu bratu w skrytości... a potem on ci to sam opowie.

P. DE LORMOY. (*śmiejąc się*)

Słusznie mówisz... to różnica... Moje dzieci, czuję się nieco utrudzoną.

TEOBALD. (*podając krzesło*)

Chciej spocząć...

P. DE LORMOY.

Dziękuję mój synu... Ale nie opuszczaj mnie... Usiądź przy mnie. Leonie podaj mi rękę... (*Teobald siada przy pani de Lormoy po lewej*) Teraz jestem spokojną, już mi się nie wymkniesz.

CELINA. (*stojąc po prawej p. de Lormoy*)

Już nie ma ochoty, porzucić nas... (*do Teobalda*) Nieprawdaż?

TEOBALD. (*spoglądając na Celinę*)

Tak, niepodobna, kto cię tylko raz widział...

C E L I N A.

No proszę, jaki grzeczniś! To bardzo pięknie ze strony brata, bo mówią, że to jest rzadkie

zdarzenie. Ale przypatrz mu się matko. jak on jest przyjemny. To nie dla tego, żeby mu pochlebiać; ale on jest daleko przyjemniejszy, aniżelim sobie wystawiała.

P. DE LORMOY.

Doprawdy?

C E L I N A.

Tak... Wyobrażałam sobie brata, że to będzie dobry chłopiec, który mię uściska, nie zwracając na mnie uwagi; gdy tymczasem Leon ma coś w sobie uprzejmego, coś tak wyrażającego... nawet w jego spojrzeniu... (*Teobald, który patrzył na nią, odwraca głowę*) Oh patrz, patrz, ja nie dla tego mówię, abyś nie miał patrzeć na mnie. Patrz... proszę cię. Jest w jego oczach nie wiem coś tkliwego i melancholicznego, co idzie aż tu!... Ah brat to miła rzecz!

P. DE LORMOY. (*która zaczęła drżymać opierając się dobrze w fotelu*)

No... pomów z twoją siostrą... ja wam nie przeszkadzam...

C E L I N A.

Dziękuję mamie, będziemy korzystać z pozwolenia.

P. DE LORMOY. (*zasypiając*)

Tak przyjemnie... kiedy można... pozwolić sercu... wydać swoje... uczucia... i...

CELINA. (*do Teobalda*)

Milczenie... zasnęła... nie przerywajmy jej snu... pewna jestem, że myśląc o tobie, sen słodkim być musi.

TEOBALD. (*wstając n. s.*)

Jakże przy jej matce wyjawić tajemnicę, oni są tak szczęśliwi, czekajmy sposobnej chwili, zatajmy prawdę.

CELINA. (*zbliżając się do Teobalda*)

Dowiesz się tej wielkiej tajemnicy, o której chciałam z tobą pomówić.

TEOBALD. (*n. s.*)

Nie wiem czy mi wolno...

C E L I N A.

Będiesz mię zapewne łajał... ale to nic nie szkodzi... od ciebie wszystko przyjmę... Widziałeś tego p. Bernardet, którego mi przeznaczają?

T E O B A L D.

I cóż?

C E L I N A.

Babunia jest tak słaba i cierpiąca, że nigdy nie śmiałam sprzeciwić się jej w najmniejszej rzeczy... Ale powiem ci prawdę, że ten narzeczony... nie kocham go wcale.

TEOBALD. (*z radością*)

Czy tak?

C E L I N A. -

To cię gniewa?... Staralam się z razu... przy-
muszałam się... ale widząc, że do tego przyjść
nie mogę, mówiłam sobie, rozważywszy: Uczy-
nię tak jak wiele innych, zaślubię go, nie kocha-
jąc... bo dowiedz się... ale nie powiesz nikomu,
niech Bóg broni (*prowadzi go naprzód sceny,
po lewój pani de Lormoy*) Ja sędzę... myślę...
mnie się zdaje... że podobno kogo innego ko-
cham.

TEOBALD. (*po poruszeniu gniewnem*)

O nieba!... I kogóż to przenosisz nad niego?

CELINA. (*obróciwszy się. czy matka śpi, to-
nem tajemniczym*)

Nieznajomego.

T E O B A L D.

Nieznajomego.

C E L I N A.

Ah tak!... nie znam go wcale... niech cię to
nie dziwi... My panny, nim zobaczymy narze-
czonego, którego nam przeznaczają, tworzymy
sobie w wyobraźni innego, podług naszego wi-
dzi mi się... Zawsze musi być piękny mężczy-
zna, tkliwy, dowcipny, najczęściej w mundu-
rze... brunet albo blondyn... z wąsami lub bez
wąsów (*patrząc na Teobalda*) jabym wolala

z wąsami... to zależy od gustu. Ja właśnie do
mojego obrazu dobieierałam tylko kolor wło-
sów, gdyśmy odebrały twój pierwszy list.....
Wspominałeś w nim o jednym z twoich towa-
rzyszów broni, o tym, który ci życie ocalił... o
wzorze męstwa, roztropności i przyjemności...
Skreślony przez ciebie kolega był tak ujmu-
jącym!...

SPIEW NRO 7.

Mój wdzięczności to dowód czysty,
Kochałam go tylko dla ciebie ;
Gdym później twe czytała listy,
Zaczęłam go kochać dla siebie,
Tak, zaczęłam go kochać, kochać dla siebie.

TEOBALD. (*mówi*)

O nieba!

CELINA. (*śpiewa*)

Lecz teraz co za różnica,
Nie mogąc zapomnieć tego,
Jaka go cnota zaszczyca,
Kocham go teraz dla niego.

Powiedz mi Leonie, powiedz mi szczerze, czy
on w istocie jest tak przyjemny jak pisałeś!

T E O B A L D.

Ale...

C E L I N A.

Wahasz się... ah to zły znak (*patrząc za siebie*) Nie bój się... babunia śpi...

TEOBALD. (*zmieszany*)

Nieszczęściem dla niego, to może zawisło od wyobrażenia, jakie sobie o nim utworzyłaś... Jakimżebyś go mieć chciała?

- CELINA. (*tkliwie z przymileniem siostry*)

Takim jak ty.

TEOBALD. (*z żywością*)

Bydźżeby to mogło!

CELINA. (*zatykając mu usta*)

Cicho... bo się obudzi.

P. DE LORMOY. (*śpiąc*)

Mój synu... mój synu!...

C E L I N A.

Widzisz... nie... to marzenie... ona jest zawsze z tobą... tak szczęśliwa ze swoim synem.

TEOBALD. (*n. s.*)

Ah to szczęście jest tylko snem!

C E L I N A.

Co ty mówisz?... O czem myślisz?... (*zbliża się do Teobalda*) Zamiast patrzeć na mnie, odwracasz głowę... Mówisz sam do siebie, zamiast mi powiedzieć co przyjemnego.

TEOBALD.

Gdybyś pani wiedziała, jakiego doznaję przymusu.

CELINA.

Twoja w tém winna... dla czegoż się przymuszać?... Uczyń tak jak ja... nie lubię kochać sama... i dla tego proszę cię, abyś mi nie mówił pani... chcę abyś mi mówił ty.. to tak przyjemnie...

TEOBALD.

Jakto chcesz pani?...

CELINA.

Koniecznien. Inaczej gniewać się będę, i nie odpowiem ani słowa.

TEOEALD.

A więc będę posłusznym, Celino...

CELINA. (*z radością, skacząc mu do szyi*)

Oh tak Leonie, bracie... ah ja nie sądziłam, że to tak miło!...

TEOBALD.

Ale pamiętaj pani, (*Celina odwraca się*) pamiętaj Celino...

CELINA.

To co innego! lubię, żeby mi być posłusznym. To zasługuje na nagrodę. (*ściska go*) Oto ją masz... cóż to... zdaje mi się, że oddalasz się. Moznaby powiedzieć, że cię przestraszam... Eh ty brzydkil...

Tom II.

4.

TEOBALD (n. s.)

To już nadto... muszę wyznać... (*głośno*)
Celino!

C E L I N A.

Cóż?

T E O B A L D.

Chciałem ci powiedzieć...

C E L I N A.

Powiedz.

T E O B A L D.

Ale matka nie powinna słyszeć.

C E L I N A.

A więc dobrze; dziś wieczór, gdy się z nią pożegnasz, jak się oddali do swojego pokoju, przyjdź do mnie... do gabinetu... to najlepszy sposób... będziemy sami...

T E O B A L D.

Do twego gabinetu... nie, to być nie może.

C E L I N A.

Dla czego nie?... (*patrząc na p. de Lormoy*)
I cóż?... śpi... powiedz mi zaraz.

T E O B A L D.

Niemogę, nie śmiałbym nigdy... Idźcie tu o to co mi jest najdroższem w świecie.

C E L I N A.

O nieba! idźcie więc o Baronową, moją kuzynkę, która cię tak kocha... Czybyś ty przypadkiem przestał ją kochać?...

T E O B A L D.

Co mówisz!

C E L I N A.

Cicho... budzi się; ale dla tego nie uwalniam cię od twojej tajemnicy... pragnę dowiedzieć się.. przyjdę tu do ciebie.. jak tylko będę mogła.

T E O B A L D.

Będę czekał na ciebie.

P. DE LORMOY. ((wołając słabym głosem)

Leonie! (*Teobald i Celina zabierają miejsca przy p. de Lormoy, Teobald po prawej, a Celina po lewej się znajduje. P. de Lormoy budząc się spogląda na krzesło, na którym siedział Teobald, zdaje się zdziwioną, że go zrazu nie postrzega, ale odwróciwszy się, widzi go, i biorąc jego rękę*) Jak przyjemnie widzieć cię przy przebudzeniu... z twoją siostrą. (*do Celiny*) Celino, czy twój przyszły nie wrócił?

CELINA. (*objętnie*)

Nie wiem... miał wydać tyle poleceń do tej biesiady, która ma być dziś wieczór.

P. DE LORMOY. (*wstając*)

To prawda, powrót mojego syna jest dniem uroczystym, będziemy mieli u siebie wszystkich przyjaciół... Pójdę i ja kazać poczynić niejake

przygotowania. Celino ty mi pomożesz. (*bierze rękę Teobalda i Celiny*) Ah teraz jestem szczęśliwą! (*Pani de Lormoy wchodzi do swego pokoju z Celiną, która daje znak Teobaldowi, aby został i że ona przyjdzie tu do niego.*)

SCENA X.

TEOBALD. (*sam*)

Ah, już dłużej znieść tego nie mogę... Zwo-
dząc ich i przewlekając błąd, czyliż nie staję się
występnym?... Tak... idzie tu o mój honor, o
moją spokojność... Każde spojrzenie Celiny,
każda chwila przy niej przepędzona, powiększa
miłość, którąbym napróżno chciał zataić przed
sobą. Trzeba zniszczyć marzenie zbyt mi dro-
gie... Spieszmy się; bo wkrótce nie miałbym
siły...

SCENA XI.

TEOBALD, BERNARDET. (*wchodzi ze środka*)

B E R N A R D E T.

Spodziewam się, że będą kontenci z dzisiej-
szej uroczystości... Zaprosiłem prawie całe
miasto...

TEOBALD. (*n. s.*)

Byłem tego pewny... (*głośno do p. Bernardet*)

Przepraszam pana za trudy, jakie dla mnie ponosisz.

B E R N A R D E T.

Dajże pokój... między szwagrami... Kiedy mówię: między szwagrami... ja zawiniłem... ponieważ przedewszystkiem... formalności z wczajne... O tak, ceremonje i etykieta... (*kładzie rękawiczki.*)

T E O B A L D.

Co pan czynisz?

B E R N A R D E T.

Moja powinność... (*poważnie*) Nazywam się Bernardet. Moja rodzina już oddawna słynie z togi sądowej. Mam cokolwiek znaczenia, majątku, wymowy, a moja reputacja pomnaża się codziennie przy każdym posiedzeniu. O rozumie moim nie mówię, gdyż w sądach wszyscy go mają. Zważywszy tedy, konkluduję, że dane mi przyrzeczenie raczysz uważać za dobre i wartość mające... jednakowoż, jako głowy rodziny, ex officio prosić przychodzę o rękę siostry.

T E O B A L D.

Mnie o rękę siostry? (*n. s.*) Co za położenie!

B E R N A R D E T.

Teraz od pana to zawisło... twoja babka nie dwadzieścia razy mi to powtarzała, i nie wątpię bynajmniej, że nie odmówisz swego zezwolenia.

TEOBALD.

Zezwolenia... mylisz się pan.

BERNARDET.

Jakto, odmawiasz?

TEOBALD.

Tak jest... są przyczyny...

BERNARDET.

Jakie? czy z mojej strony... ja dam kaucję za siebie w każdej okoliczności.

TEOBALD.

Celina... Celina, moja siostra, oddając sprawiedliwość jego zasłudze, dotąd szacunek tylko dla niego czuje...

BERNARDET. (*tonem zarozumiałym*)

Czy tak pan sądzi?... A więc jesteś w błędzie.

TEOBALD. (*żywo*)

Co mówisz?

BERNARDET.

Że jestem pewny siebie... pewny wzajemności... bo gdyby nie to, ja pierwszybym odrzucił.

TEOBALD. (*z radością*)

Czy tak?

BERNARDET.

W naszym zawodzie trzeba koniecznie być pewnym miłości żony i ufać jej.

SPIEW NRO 8.

W sądowniczym naszym stanie
 Ta pewność myśli dodaje,
 Gdy idąc na posłuchanie,
 Żonka posłuchań nie daje.

T E O B A L D.

Rozumiem.

B E R N A R D E T.

Dla tego oświadczam, że jeżeli panna Celi-
 na mię nie kocha... ja sam uważam moją sprawę za nie była.. Ale słyszę ją... możesz pan in-
 terpellować w mojej obecności.

SCENA XII.

BERNARDET, CELINA, TEOBALD.

C E L I N A.

Ah Leonie, Leonie... udało mi się wymknąć...
 i biegnę pędem... oh jak serce moje bije! (*bie-
 rze rękę Teobalda, chce do piersi przyłożyć, on
 cofa rękę*) Cóż to? czy się obawiasz?... A potem
 ty nie wiesz, jaką niespodziewaną przyjemność
 matka ci chce uczynić?.. łańcuch z moich wło-
 sów, który sama uplotła, chce ci ofiarować. To
 ci będzie przyjemnie, nie prawdaż?... No odpo-
 wiedz... Tak się mówi: ja cię nauczę: »O mo-
 ja siostrze, dziękuję ci, on mię nigdy nie opuści.«

Oh Boże, jak to ci bracia są obojętni!.. nawet nie spojrzy na mnie, kiedy ja ledwie cię nie zjem oczami... jabym cię ścisnęła i całowała przez cały dzień! ale się wstrzymuję z obawy, aby ci się nie naprzykrzać.

B E R N A R D E T.

Ah, gdybym ja był na jego miejscu...

CELINA. (*patrząc na P. Bernardet*)

He? co pan mówisz?

B E R N A R D E T.

Ja mówię... że gdybym był na jego miejscu, pozwoliłbym się ścisnąć i całować...

C E L I N A.

Doprawdy? bardzo wierzę. (*do Teobalda*) Powiedziałaś mi moją tajemnicę, pragnę z niecierpliwością poznać twoją.

TEOBALD. (*cicho do Celiny*)

Nie jesteśmy sami...

CELINA (*patrząc na Bernardet*)

To prawda.. (*cicho do Teobalda*) Zraz się go pozbędziemy (*głośno*) Panie Bernardet...

BERNARDET. (*z postacią uśmiechającą i uśmiechniętą*)

Cóż Pani rozkaże? (*do Teobalda*) Przekonasz się jak mię kocha.

C E L I N A.

Chciałabym pomówić z moim bratem.

B E R N A R D E T.

A więc.. pomówmy.

C E L I N A.

Ale nas za wiele...

B E R N A R D E T.

Przecież ja, należąc do familji, nie jestem za wiele?

C E L I N A.

Podobno... (*tonem pieszczotliwym*) Pan będąc tak uprzejmym.. uczynisz mi przyjemność i zostawisz nas samych... Widzisz pan... postępuję bez ceremonji.

B E R N A R D E T. (*z ukłonem*)

Oh pani... mam iść na ustęp? (*idąc między Celinę i Teobalda, cicho do ostatniego*) Słyszałeś... ta familjarność... ta słodka familjarność!... Tak się tylko postępuje z temi, których się kocha... tylko przyjaźń ośmiela się powiedzieć: »idź precz.« Ja czuję się godnym takiej przyjaźni i odchodzę. (*do Celiny*) Być pani posłusznym jest największą dla mnie przyjemnością. (*odchodzi*)

SCENA XIII.

CELINA, TEOBALD.

CELINA.

Już poszedł... możesz mówić... wahasz się jeszcze?

TEOBALD.

Nie taję... im więcej cię widzę, mój los zdaje się być więcej godnym zazdrości. Ah, jak boleśnie wyrzec się go na zawsze!

CELINA.

Wyrzec się go na zawsze?

TEOBALD.

Muszę to uczynić... Każda chwila wyznanie to czyni trudniejszem i więcej potrzebnem... A jednakże, skoro wyjawię, utracę wszystkie prawa do twojej przyjaźni.

CELINA.

Nie, nigdy!

TEOBALD.

Przyrzecz mi przynajmniej, że mię nienawidzieć nie będziesz... i pomnisz na to: że w całym tem zdarzeniu nic nie zależało odemnie... że mój jedyny występki... jedyny, o który się obwiniam, a któremu oprzeć się nie jestem w stanie, jest: iż kocham cię z całym zapalem najczystszych uczuć.

CELINA. (*ściskając go w objęciu i pieszcząc się z nim*)

Ten występek... przebaczam ci... i dziękuję ci za niego... Tego tylko pragnęłam.

TEOBALD.

Nie będziesz tak mówić... gdy się dowiesz, iż zwiodłem cię...

CELINA.

Ty mój bracie!

TEOBALD.

A gdybym nie był twoim bratem?

CELINA. (*z szybkością oddalając się od niego*)

Co słyszę?... I któż pan jesteś?

TEOBALD.

Jego przyjaciel... ten Teobald...

CELINA.

O nieba!... przychodzić pod jego nazwiskiem, podstępnie dowiedzieć się naszych tajemnic!... całą rodzinę napełnić radością... aby potem naszą boleść dotkliwszą uczynić...

TEOBALD,

Nieszczęsna omyłka stała się przyczyną moich przewinień... Są one mimowolne.

CELINA.

Jakże pan tego dowiedziesz? To szkaradnie mościpanie, to niegodnie... użyć podobnego podstepu, a ja, która w naszej rozmowie nie lękałam się powiedzieć jemu samemu w oczy...

T E O B A L D.

Pani...

C E L I N A.

To nieprawda co powiedziałam, niech pan nie wierzy...

T E O B A L D.

Jakto, więc kochasz pana Bernardet?

C E L I N A.

To to prawda że go nie Kocham... ale tamto... nie...

T E O B A L D.

A więc w jednej chwili tracę i twój szacunek i moje prawa do twojej.. przyjaźni?..

C E L I N A. (*dwuznacznie*)

Ehę... tak...

T E O B A L D.

Serce twoje zachowało tylko pamięć mojego występku! a jeśli dla usprawiedliwienia się w oczach wszystkich, potrzeba tylko mojego świadectwa.. ja sam ogłoszę prawdę.

C E L I N A.

A moja matka... moja biedna matka, ta niespodziewana wiadomość śmierć jej zadać może.

T E O B A L D.

To prawda... Czekajmyż więc na doktora, uprzedziłem go, napisałem mu wszystko... Do jego przybycia przynajmniej proszę, zachowaj tajemnicę.

C E L I N A.

Ja mam się stać jego współniczką! zezwolić na podobny podstęp!... nigdy!... A jednakże co tu począć?... gdybym była lepiej jeszcze nie wiedziała.. proszę pana, na co mi to było powiadać?

T E O B A L D.

Uległy twoim rozkazom, gotów jestem być ci posłusznym... Będę Leonem czy Teobaldem? powiedz ostatecznie.

C E L I N A.

Ja powiadam mości panie... powiadam, że cie nie cierpię, nie nawidzę (*sposstrzegając panią de Lormoy*) Boże! moja matka! No, i cóż kochany Leonie, mówiłeś mi...

T E O B A L D. (*półgłosem*)

Chcesz więc?..

C E L I N A.

Tak trzeba... z warunkiem mości panie, że nie będziesz do mnie mówił... że nie zbliżysz się... zakazuję ci to na honor.

S C E N A XIV.

BERNARDET, P. DE LORMOY, CELINA, TEOBOLD.
B E R N A R D E T.

Tak, moja matko, kazano mi iść za drzwi... Musiałem w pokoju spacerować wzdłuż i w szerz, dla rozrywki ułożyłem rekwizycją.

Tom II.

5.

P. DE LORMOY. (*do Teobalda*)

No, ponieważ jeszcze my tylko jesteśmy, przynoszę ci podarunek twojej siostry... te włosy...

CELINA. (*do Teobalda*)

Nie przyjmij mości panie, nie przyjmij... nie bierz.

P. DE LORMOY.

Celino, ty powinnaś sama mu oddać... Zawieś mu ten łańcuch na szyję.

C E L I N A.

Ale moja matko...

P. DE LORMOY.

Śmiało... (*do Teobalda*) nachyl się przed nią.
(*Teobald kłęka na jedno kolano.*)

CELINA. (*cicho do Teobalda, kładąc mu łańcuch z włosów na szyję*)

A ponieważ tak potrzeba...

B E R N A R D E T.

Obraz prawdziwie zachwycający!

P. DE LORMOY. (*do Teobalda*)

Jakto? nie dziękujesz jej?

TEOBALD. (*wahając się*)

Nie wiem jak wyrazić moją wdzięczność!...

P. DE LORMOY.

Przyrajańnij ją pocałuj.

CELINA. (*cicho do Teobalda*)

Zabramiam.

TEOBALD.

Nie śmiem.

P. DE LORMOY.

Jakto! ty nie śmiesz? *(do p. Bernardet, śmiejąc się)* On nie śmie. *(do Teobalda)* No dalej...

CELINA. *(do Teobalda, nie patrząc na niego)*

No pocałujże mię pan... bo mama patrzy.

(Teobald całuje.)

P. DE LORMOY.

Teraz ty Celino...

CELINA.

Jakto, ja? moja matko...

P. DE LORMOY.

Czy i ty także nie śmiesz?

CELINA.

O nie.... ale...

TEOBALD. *(cicho do Celiny)*

Matka patrzy.

CELINA.

Ah, kiedy patrzy... *(całuje go)*

P. DE LORMOY.

Ha, otóż to tak!... Co słyszysz? powóz zajężdża na dziedziniec.

BERNARDET.

To jeszcze jedna przyjemność niespodziewana, którąśmy zachowali dla niego... Uwiadomiłem młodą Baronowę... i właśnie przybyła...

TEOBALD.

O nieba!

CELINA. (*cicho*)

Co tu począć?

TEOBALD. (*j. w.*)

Czyli ją nie można uprzedzić? (*chce wyjść*)

BERNARDET.

Jak jest zmieszany! skutek miłości.

TEOBALD. (*n. s.*)

Omylił się bardzo!

P. DE LORMOY. (*wstrzymując Teobalda*)

Nie, nie mój synu, pójdź tu. (*przyprowadza Teobalda, który wracając znajduje się po prawej jej stronie.*)

CELINA.

Biegnę na jej spotkanie.

P. DE LORMOY. (*wstrzymując ją także.*)

Nie, nie... ja chcę być świadkiem jej zadziwienia... (*do Teobalda*) Ukryj się nieco (*do p. Bernardet*) Zasłoń go dobrze... aby go nie postrzegła od razu. (*stawia Teobalda po prawej, ale tak aby go Bernardet zasłaniał.*)

- SCENA XV.

TEOBALD, BERNARDET. P. DE LORMOY,
BARONOWA. CELINA.

BARONOWA. (*wchodząc prędko*)

Ah moja ciotko... prawdaż to co mi donie-
siono?

P. DE LORMOY.

Cóż to?... mianożby pomimo moich rozkazów powiedzieć ci?...

B A R O N O W A.

Nie... nie wiem... ale nowina biega po mieście... a potem... p. Bernardet dał do zrozumienia...

B E R N A R D E T.

Kilka słów przypadkiem, aby przygotować poznanie się...

B A R O N O W A,

Poznanie się?... co mówisz?

P. DE LORMOY.

Tak jest, nie chcę dłużej zostawiać cię w niepewności, nie chcę zwlekać twojego szczęścia. Ten, którego kochasz, którego masz zasłubić; mój syn, mój kochany Leon, na koniec nam powrócony.

B A R O N O W A.

Ah, jeszcze nie mogę dać wiary. Niech go zobaczę... gdzież on jest?...

P. DE LORMOY.

Przy tobie! oto go masz.

B A R O N O W A.

Leon!... Ah!... *(mając się rzucić w jego objęcia, spogląda na niego, wydaje krzyk i upada bez zmysłów na krzesło)*.

P. DE LORMOY.

Ah, cóżeśmy uczynili!

B E R N A R D E T.

Jest to zbyt radości!

T E O B A L D.

Trzeba śpiesznej pomocy.

B E R N A R D E T.

Trzeba jej dać powąchać... powinienem mieć mój flakonik... Mam go zawsze przy sobie na potrzebę dam, które bywają obecne na sądach jako amatorki.

P. DE LORMOY.

Pójdę sama... przyniosę... Celino, zostań przy niej.

C E L I N A.

Matko, lepiej ja pobiegnę.

P. DE LORMOY.

Nie znajdziesz kluczków. (*wchodzi do swego pokoju*)

B E R N A R D E T. (*jak wyszła pani de Lormoy*)

Już nie potrzeba... już przychodzi do siebie... otwiera oczy...

SCENA XVI.

(NB. *Scena ta nadzwyczajnie żywo grać być powinna.*)

TEOBALD, BERNARDET, BARONOWA, CELINA.

BARONOWA. (*przychodząc do siebie*)

Ah mości panie!... to nie on!

B E R N A R D E T.

Co pani mówisz?

B A R O N O W A.

Nie, to nie Leon.

BERNARDET. (*do Celiny, głośniej*)

To nie brat pani?

C E L I N A.

Milczenie.

BERNARDET. (*wchodząc między Baronową i Celinę*)

Nie będę milczał; albowiem to jest tajemnica, o której muszę mówić. Niech będą wiadome jego zuchwałe sprawy... jakie miał zamysły?

T E O B A L D.

Nie miałem żadnych... pragnąłem dopełnić powinności... pan nie dałeś mi czasu do wytłumaczenia się... i nieroztropność jego jest przyczyną błędu całej familji.

B E R N A R D E T.

Dla czegoż go natychmiast nie było wyjaśnić?

T E O B A L D.

Czyliż mogłem?... czy mogę jeszcze?

B E R N A R D E T.

Niechże pani natychmiast wynajdzie jaki sposób uwiadomienia o tem... albo nie: to ja biore na siebie. Nie zezwolę, aby ten jegomość zostawał dłużej przy paninie Celinie, z tytułem i przywilejami brata; tem bardziej, że wiedziała wszystko, a kazała mi odejść.

CELINA. (*z gniewem*)

Co za niegodne podejrzenie... Pan możesz myśleć...

T E O B A L D.

Mości panie, dasz mi zadosyć uczynienie.

B E R N A R D E T.

Nie, ale proces panu uformuję za udawanie się za kogo innego...

B A R O N O W A.

Cicho... słyszę moją ciotkę.

B E R N A R D E T. (*idąc w głąb*)

Tem lepiej.

CELINA. (*zatrzymując go*)

Na imię Boga! chcesz jej śmierć zadać...

B E R N A R D E T. (*cicho, z żywością*)

Nie, ale chcę żeby wiedziała prawdę... Do

was należy dać ją poznać... zostawiam wam 8 minut czasu do tego... jeżeli nie... moje powołanie jest mówić i powiem...

SCENA XVII.

TEOBALD, BARONOWA, P. DE LORMOY,
BERNARDET, CELINA.

P. DE LORMOY. (*trzymając flaszeczkę*)
Przebacz mi, żem prędzej nie mogła przybyć z pomocą... Ale widzę... że już nie potrzeba...

B A R O N O W A.

Tak moja ciotko.

T E O B A L D.

Ledwo oddycham.

P. DE LORMOY. (*kładąc flakonik na stole*)

Jego obecność była najpewniejszym lekarstwem... Ale jak ty jesteś wzruszoną! (*patrząc na Teobalda*) I ty także! (*na Celinę*) a nawet Celina! kiedy ja... w istocie moje dzieci... sądzę, że teraz ja jestem najzdrowszą z was wszystkich.

BERNARDET. (*do Celinę*)

Słyszysz pani... można mówić.

CELINA. (*idąc do pani de Lormoy*)

Moja matko...

P. DE LORMOY.

Co chcesz, moje dziecię?

CELINA. (n. s.)

Ah, gdyby doktor przyszedł!

B E R N A R D E T.

Panna Celina ma pani coś powiedzieć.

TEOBALD. (n. s.)

Któż określi moje cierpienie!

C E L I N A.

Ja... nie, to moja kuzynka.

P. DE LORMOY.

Rozumiem... zapewne jakie zwierzenie się
względem Leona.

B A R O N O W A.

Tak, moja ciotko... tak właśnie... i pan (*wskazując Teobalda*) mógłby lepiej jak kto inny...

P. DE LORMOY.

A więc mój synu, mów... (*Teobald zbliża się do pani de Lormoy, która bierze go za rękę*)
Ale cóż to?... twoja ręka zimna i drżąca, odwracasz oczy... (*spoglądając kolejno na Baronową i Ce'linę*) Wy także... Zkądże pochodzi ta trwoga... to milczenie?... mówcie, słucham was bez obawy, już się nie lękam nieszczęścia, mój syn jest przy mnie.

RAJMUND. (*za sceną*)

To dobrze... zastanę ich w salonie.

WSZYSCY (z radością)

To Rajmund!

B A R O N O W A.

Doktor!

GELINA, TEOBALD.

Bogu dzięki! (*wszyscy idą naprzeciw doktorowi*)

SCENA XVIII.

CELINA, TEOBALD, P. DE LORMOY, RAJMUND,
BARONOWA. BERNARDET.

P. DE LORMOY.

Przybywaj doktorze... przybywaj... należysz
do familji... a właśnie teraz jest ona w kłopotcie.

RAJMUND. (*uśmiechając się*)

Wątpię.

P. DE LORMOY.

Nie wiem co im się wszystkim stało.

RAJMUND. (*z uśmiechem*)

Ale ja wiem... wiem... to jest coś, coby chcieli
powiedzieć.. a nie wiedzą jak się wziąć do-
tego.

P. DE LORMOY.

Doprawdy?

R A J M U N D.

To dzieciństwo.

P. DE LORMOY.

Tem lepiej.. zaspokajasz mnie.

R A J M U N D.

Później o tém pomówimy, gdy będziemy sami (*półgłosem*) To ma styczność z listem, który niedawno syn pani przysłał do mnie.

TEOBALD (*żywo*)

I który pan czytałeś?

R A J M U N D.

Dowód, że przychodzę wam na pomoc.

P. DE LORMOY. (*wesoło*)

Już wiem... jakie pustoty młodości... i lękać się powiedzieć mi...

R A J M U N D.

Nie, to jest postępек godnego i uczciwego młodzieńca, i będzie za to nagrodzony. (*Pani de Lormoy siada w krzesło, które jęj Teobald podaje, Rajmuud siada przy nięj i bierze jęj rękę*) Zobaczymy naprzód... no, nie źle... nie źle... mogą nawet powiedzieć bardzo dobrze.

P. DE LORMOY. (*patrząc na Teobalda*)

Wierzę temu... będzie coraz lepiej kiedy patrzę na niego... Ale doktorze, jestem kobietą, to się ma znaczyć nieco ciekawą, i chciałabym wiedzieć...

R A J M U N D.

Przyjdziemy do tego, później trochę. Idz-

my porządkiem; widziałem dziś tyle osób, dowiedziałem się tylu szczególnych wydarzeń... że muszę wam opowiedzieć to, które mnie same-mu-się przytrafiło. Ale trzeba, aby puls był spokojny jak jest, bo za najmniejszém przyspieszeniem... zatrzymam się, a będziesz się pani gniewać, bo to ciekawe zdarzenie, a nadewszystko prawdziwe.

P. DE LORMOY i inni.

Dalej doktorze, dalej.

R A J M U N D.

Ah! jesteście bardzo ciekawi!... A więc moi przyjaciele... chociaż Rasyn powiedział: Nigdy łupu łakomy Acheron nie traci; ja utrzymuję, że błądzi. Widzieliśmy ludzi powracających... rzadko, to prawda; szczególnież my doktorowie. ale nakoniec to być może.

P. DE LORMOY.

Świadkiem mój syn, któregośmy mieli za umarłego, a mamy przed sobą.

R A J M U N D.

Tak, syn pani!... to nic...

B E R N A R D E T.

I cóż doktorze? (*n. s.*) już pięć minut.

R A J M U N D.

A więc... chcę wejść do domu, oddają mi ten

Tom II.

6.

sławny list, o którym później pomówimy... za-
ledwie go przeczytał, wtem jakiś młody czło-
wiek - zbiega szybko ze schodów, rzuca się
w moje objęcia, ściska, tak, że omal mię nie za-
dusił. „Mój przyjacielu, mój ojczy, ciebiez ja
„znowu oglądam! Widzę cię nakoniec, od ra-
„na czekam na ciebie!“

B E R N A R D E T.

Jako, to był?...

R A J M U N D.

Dawny mój pacjent... ten młody człowiek,
o którym mówiłeś mi rano.

P. DE LORMOY. (*śmiejąc się*)

Ten z Montauban, co to przyjechał koczem,
trzema końmi?

R A J M U N D.

Ten właśnie. Wiedziałem dobrze, że spotka-
nie to zadziwiłoby panią. W istocie przyjechał
z Montauban... ale wraca cokolwiek z dalszej
drogi, z Hiszpanji.

P. DE LORMOY.

Tak jak mój syn.

R A J M U N D.

Zkąd cudem się tylko uratował... bo nawet
jego koledzy już go mieli za umarłego. Dla
tego pałał chęcią oglądania swojej familji, swo-
jej narzeczonej, a szczególnie uściskania matki..

P. DE LORMOY. (*do Teobalda*)

Tak jak ty mój synu.

RAJ M U N D.

Stanął u mnie, prosząc, żebym się udał do niej, i wynalazł jaki zręczny sposób, przygotować z wolna serce matki do tego niespodziewanego powrotu.

P. DE LORMOY.

Zdaje mi się doktorze, że to nic łatwiejszego.

B E R N A R D E T.

W istocie.

RAJ M U N D.

Nie wcale... Tu właśnie historia się komplikuje; polecenie mi dane, było tém trudniejsze, że jego miejsce było już zajęte.

W S Z Y S C Y.

O nieba!

BARONOWA. (*w największej trwodze.*)

Co za myśl!

RAJ M U N D. (*zimno*)

Istotna prawda! miejsce jego w domu rodzicielskim było rzeczywiście zajęte...

B E R N A R D E T. (*patrzac na Teobalda*)

Przez oszusta!

RAJ M U N D. (*patrzac takze na Teobalda*)

Nie... przez przyjaciela zbyt mu drogiego... który dwa razy ocalił mu życie... Przyjaciela, którego mimowolnie rzucono na łono rodziny....

i który lęka się oddalić z oblicza matki, aby gwałtowne wzruszenie... (*biorąc rękę p. de Lormoy*) Pani go doznajesz... puls daleko żywszy.

P. DE LORMOY. (*spoglądając kolejno na doktora i Teobalda*)

Nie, nie, przysięgam.

TEOBALD, CELINA, BARONOWA. (*do doktora*)
Przez litość, dokończ...

RAJMUND. (*patrzac na nich*)

I wy także... Cóż znaczy to wzruszenie?

BARONOWA. (*półgłosem opierając się na krześle doktora*)

Powiedz... błagam... albo umrę.

RAJMUND. (*biorąc jej rękę*)

Nie... nie umrzesz... żyć będziesz dla szczęścia... ale powściągniesz zbyt wielką radość, która mogłaby się stać fatalną twojej matce.

B A R O N O W A.

Mój matce!

R A J M U N D.

Tę przynajmniej, którą wkrótce tak nazywać będziesz.

T E O B A L D.

A więc to prawda!... Mój przyjaciel, mój brat!.

P. DE LORMOY. (*wstając*)

Mój kochany Leon!

RAJMUND. (*trzymając za puls*)

Dobrze... dobrze... cieszy mię (*wstaje; odtąd scena nadzwyczajnie żywo iść powinna*) Tak, żyje... widziałem go przed chwilą... uściskałem i jesteś najszczęśliwszą z matek!... W miejscu jednego syna, masz dwóch!... gdyż Leon błaga cię, abyś siostrę jego połączyła z Teobaldem, z tym, który mu po dwa kroć życie ocalił, i w tej chwili kiedy ty pani przychyliš się do prośb jego, ujrzysz Leona w twojem objęciu, (*poruszenie P. Bernardet*) a Pan Bernardet jest zbyt grzecznym, aby miał opóźniać tę chwilę najwyższej dla wszystkich radości.

CELINA. (*klaniając mu się*)

Proszę pana, niech pan nie opóźnia...

B E R N A R D E T.

Kto?... ja?... nie... w istocie (*n. s.*) zwłaszcza po tém co słyszałem i widziałem a co nie słyszałem i nie widziałem...

R A J M U N D.

Życzenia twoje i twego przyjaciela spełnione zostały, drogi Teobaldzie.

P. DE LORMOY.

Ty Teobald! to więc jest Teobald!... on ocalił życie mojemu synowi; oto twoja nagroda,

G*

(oddając mu Celinę), a teraz mojej oczekuje!

RAJMUND. (wprowadzając Leona w objęcia matki)

Oto jest.

L E O N.

Matko!

Razem. { CELINA. Bracie!
BARONOWA. Leonie!
TEOBALD. Przyjacielu!
P. DE LORMOY. Synu!

P. DE LORMOY. (mając w swém objęciu Leona)
Oh jakżem szczęśliwa!

(Obraz. — Zastona spada.)

K O N I E C.

URZĄD I ŻONA

KOMEDJA

WE TRZECH AKTACH

z Francuzkiego.

pp: Bayard i Gustawa de Baillly

PRZEŁOŻONA.



GRANA PIERWSZY RAZ W WARSZAWIE.

dnia 29 Kwietnia 1832 roku.

O S O B Y.

PAN ROŚCICKI, rewizor. JP. *Kudlicz.*

PAN KAROLIŃSKI, szef wydziału. JP. *Piasecki.*

AUGUST MIROWICZ, podszef. JP. *Jasiński.*

WAGOMIR, asesor prawny. JP. *Wolski.*

JERZY, woźdy JP. *Damse.*

PANI ŻERAŃSKA, siostra Karo-
lińskiego. JPa *Palczewska.*

ADELA, żona rewizora JPi *Kurpińska.*

Goście płci obojęd.

Służący.

(*Rzecz dzieje się w pierwszym akcie w gabinecie Karolińskiego, w drugim w mieszkaniu Pani Żerańskiej, a w trzecim u Rościckiego.*)

URZĄD I ŻONA.

AKT I.

(Scena wystawia gabinet szefa wydziału. W głębi kominek, z dwóch stron tegoż drzwi. Po prawej stronie gabinet, blisko niego biurko ze wszystkiem co potrzebne do pisania.)

SCENA I.

JERZY. *(sam, siedzi poważnie, i z miną nieco zagniewaną, układa papiery na biurku)*

Trzy kwandranse na dziesiątą, a nie ma nikogo w biurze! jak zwykle przyjdą o dwunastej, a ja już jestem! Zawsze o godzinie ósmej regularnie, raz z przyzwyczajenia, drugi raz, że tym sposobem prędzej kończę moje sam na sam z ukochaną małżonką.

SCENA II.

JERZY, ROŚCICKI, ADELA.

ROŚCICKI. *(wchodząc drzwiami w głębi po lewej.)*

Hm! hm!

J E R Z Y,

Cóż tam? czego pan żąda? nie ma nikogo.

R O Ś C I C K I.

A kiedy tak, wchodzę. Patrz moja najdroższa, biuro, papiery, wszystko to czyni mię o dwadzieścia lat młodszym.

JERZY. (*wstając z gniewem*)

Ale kiedy panu mówię...

R O Ś C I C K I.

Ah, nie myślę się, to stary Jerzy, to on! najstarszy z woźnych; człowiek dobry, przyjemny, uprzejmy... (*z cicha*) głupiec i niegrzeczny.

J E R Z Y.

Wszyscyśmy tacy, nie masz w tem nic nadzwyczajnego; ale, przebacz pan, nie mam zaszczytu...

R O Ś C I C K I.

Jakto, nie przypominasz mię pan sobie? No, przypatrz mi się dobrze; będzie temu trzy lata, jeden z protegowanych przez ciebie, dobra dusza, Rościcki.

J E R Z Y.

Rościcki! Ah prawda, pan Kacper Rościcki, jeżeli się nie mylę? (*n. s.*) ah, najnudniejszy suplikant.

R O Ś C I C K I.

To, to, byłem pewny, że mię pozna.

J E R Z Y.

Jakimże przypadkiem pan znajdujesz się w Warszawie? otrzymałeś miejsce na prowincji.

R O Ś C I C K I.

W Końskich. Ale nudy na prowincji, atmosfera małych miast i małych urzędów niemila mi zupełnie, a dowiedziawszy się, iż w Warszawie jest wakans...

J E R Z Y.

Pan wiesz...

R O Ś C I C K I.

Oh wiem, urząd sekretarza, miejsce przeszliczne!

J E R Z Y.

Zawsze chęć wyższości, panie Rościcki.

R O Ś C I C K I.

Zawsze, to mię utrzymuje. Ale nim się przedstawię, chciałbym cokolwiek rozpoznać skład biurowy; powiedz mi mój panie Jerzy, któż jest teraz szefem wydziału?

J E R Z Y.

Pan Karoliński, siostrzeniec Inspektora, młody modniś, bardzo grzeczny, wielbiciel zabaw, nie opuszczający żadnego balu, przychodzi do biura dopiero w południe.

R O Ś C I C K I.

A odchodzi o pierwszój, nieprawdaż? Gorliwość w pełnieniu obowiązków do niego nie należy; a podszeff?

J E R Z Y.

O to wcale co innego, pan Mirowicz, człowiek pilny, pracowity.

A D E L A.

August Mirowicz?

J E R Z Y.

Ten sam, pani dobrodziejko.

R O Ś C I C K I.

Jakto, ten, o którym mi mówiłaś, mój poprzednik w Końskich?

A D E L A.

W istocie przypominam sobie...

J E R Z Y. (n. s.)

Jak zdaje się być wzruszoną tym poprzednikiem starego męża.

R O Ś C I C K I.

A więc ten Mirowicz jest teraz podszefem.. To się przewybornie wydarza, mam więc protektora! Ale nie zapominajmy naszego interessu. Pan Mirowicz, mój poprzednik, człowiek pracowity i pilny, pan Karoliński modniś, z jednym mówić wypada o interessach, z drugim o zabawach; przyłączyć do tego nieco śmiałości...

J E R Z Y. (n. s.)

I wstawienie się ładnej żonki.

R O Ś C I C K I.

A dojdę do celu; dowcip, moja żona go posiada, jestem pewny swego; (*patrzac na zegarek*) już dziesiąta godzina, biegnę do Kommissji Skarbu, gdzie mam się widzieć z pewną

osobą, ztamtąd do Banku, nakoniec do Trybunału.

J E R Z Y.

Jakto, więc pan wszędzie ubiegasz się o miejsce?

R O Ś C I C K I.

Wszędzie, mój Jerzy, ale nie dla mnie, dla moich przyjaciół; proszono mnie, i zyskuję na tem, nie wychodzę bowiem ze sztosu ciągłego suplikowania. Zostawię jednakże panu prośbę, będą z niej zadowoleni, jest nap sana tak jasno i z takim talentem! to łatwo domyśleć się można, kto ich tyle napisał. Ale gdzieżem ją podział?

A D E L A.

Pewnieś zapomniał, podług zwyczaju.

R O Ś C I C K I.

No, no, nie gniewaj się. Byłem pewny... ah przypominam sobie, napisałem ją wczoraj, w czasie kiedyś była w teatrze, położyłem na twojej toalecie, biegnę po nią. Ale do kata! miałem się właśnie w tej godzinie widzieć... co tu począć?

A D E L A.

Lada fraszka w kłopot cię wprawia, idź gdzie cię interessa wzywają, ja pójdę po papiery i doręczę je panu.

R O Ś C I C K I.

Wyśmienicie, mieszkamy ztąd niedaleko. O, moja najdroższa żona ma dowcip.

JERZY. *(półgłosem)*

Jeżeli się nie mylę, ona pana prowadzi.

ROŚCICKI. *(również)*

Tak, tak, nieco, to właśnie szczęście

A D E L A.

Nie trać czasu na rozmowie, idźmy.

R O Ś C I C K I.

Natychmiast. Ale nim oddamy prośbę, bądź łaskaw panie Jerzy, napisz nasz adres, niech będzie zawsze pod okiem. Bez pożegnania mój dawny przyjacielu, za godzinę będę z powrotem.

J E R Z Y.

Oh, nie spiesz się pan, nie spiesz.

R O Ś C I C K I.

Dla czegoż to?... dorozumiewam się... oh złośliwy!... może natrętny jestem...

J E R Z Y.

Nie to bynajmniej, lecz tylu ubiegających się, przeszkody...

R O Ś C I C K I.

Przeszkody! dajno pokój, nie lękam się ich wcale; raz się wcisnąwszy, postępuję zawsze naprzód, nie patrząc co się za mną dzieje. Przeskakuję wszystko *(trącając mocno Wagomira, który wchodzi w tej chwili)* Przepraszam Pana *(wychodzi z żoną drzwiami po lewej)*

SCENA III.

JERZY, WAGOMIR.

W A G O M I R.

Niech cię kaci porwą! niezgrabny, o mało co
mnie nie przewrócił. Któż to jest?

J E R Z Y.

Urzędnik z prowincji, przyjeżdża starać się o
awans.

W A G O M I R.

Awans, wszyscy jedno, awans! Wszyscy tyl-
ko myślą o wyższych stopniach, aby potem wziąć
pensją wysłużonych. Ah mój Jerzy, gdzie się
podziały nasze dawne biura?... prosto ze szkół
do nich wchodzono; zwolna się posuwano, i u-
mierano bez awansu na jednym urzędzie. Ja
na przykład, byłem dziesięć lat nadliczbowym,
i miałem lat sześćdziesiąt, gdy mnie nominowano
assessorem prawnym, ale nie mówmy o tém.,
Pan Karoliński jeszcze nie przyszedł?...

J E R Z Y.

Nie była dwunastu.

W A G O M I R.

Pewnie znowu noc na balu przepędził.

J E R Z Y.

Wątpię, gdyż dziś właśnie sam daję bal u
swojej siostry.

W A G O M I R.

O co w tem, to nie ma nic złego; i ja tam będę. Prócz tego, tak sobie postępuje jak wszyscy adwokaci, notariusze i damy pensje utrzymujące; wybrał Sobotę: więc śpi w Niedzielę, a tak obowiązki nic na tem nie cierpią.

SCENA IV.

AUGUST, KAROLIŃSKI, WAGOMIR, JERZY.

(ostatni nieco w głębi przy stoliku)

KAROLIŃSKI. *(wchodząc drzwiami po lewej)*

Bardzo dobrze moi panowie, bardzo dobrze, jesteście najgrzeczniejszymi na świecie ludźmi; ale proszę was, pozwólcie mi odetchnąć. Pójdź Augustcie. Dzień dobry panie Wagonirze, zawsze pierwszy w biurze. *(z cicha do Augusta)* Ja sądzę, że to co najlepszego uczynić może. *(głośno)* Jerzy, czy nie ma co nowego?

J E R Z Y.

Jest tylko zostawiony adres.

K A R O L I Ń S K I.

Proszę. Rościcki, Rościcki, któż to? Rewizor w Końskich?

A U G U S T.

Mój następca, tam do kata! najpierwszy suplikant Europy i najnatrętniejszy ze wszystkich.

K A R O L I Ń S K I.

Nie chcę się z nim widzieć.

J E R Z Y.

Pan nie chce się z nim widzieć, to dla niego za mało; to jest człowiek nie tak łatwy do pozbycia. Poprzednik pana szefa jeden tylko sposób znalazł uwolnienia się od jego natręctwa, dał mu urząd na prowincji.

K A R O L I Ń S K I.

No, no, zobaczemy. Panie Wagomirze, siostra mi wspominała o twoim siostrzeńcu, proteguje go: pragnie być sekretarzem w administracji. Proszę zrobić raport do mojego wuja, ja podpiszę.

W A G O M I R.

Ah panie, nasza wdzięczność, (*n. s.*) są chwile, że jest bardzo uprzejmy.

J E R Z Y.

Oto są wygotowane bilety z zaproszeniem na bal.

K A R O L I Ń S K I.

Dobrze. Trzeba także pamiętać o urzędnikach z prowincji, chwilowo bawiących w Warszawie; na kominku w moim pokoju znajdziesz ich listę. Chcę, żeby tego wieczora tańczyli wszyscy urzędnicy moich biur. A teraz panowie dopilnujcie pracy swoich podwładnych (*do*

Wagomira) Oszczędzaj się kochany Wagomirze, aby wieczór spędzić wesoło, rozumiesz mnie?

WAGOMIR. (*wychodząc z wolna drzwiami na lewo.*)

Bądź pan spokojny, zawsze jestem wesoły na balu.

JERZY. (*wracając*)

Czy mam także do pana Rościckiego posłać bilet zapraszający?

KAROLIŃSKI.

Nie trzeba, nie, ja go odeślę do Końskich.

(*Jerzy wychodzi drzwiami w głębi po prawej.*)

SCENA V.

AUGUST. (*przerzucając papiery na biurze*)

KAROLIŃSKI. (*na przodzie sceny.*)

KAROLIŃSKI.

Nudne też to zatrudnienie. Ty także mój powierniku, przyjacielu, ty zawsze tylko umiesz mówić o interessach, gdy tymczasem ja mam ci tyle rzeczy do powiedzenia...

AUGUST.

To nie przeszkadza... możesz podpisywać i mówić...

KAROLIŃSKI. (*przy stole, podpisując*)

Augustcie, czy nie znajdujesz mię dzisiaj smutnym, słabym, wzruszonym?

AUGUST. (*wesoło*)

Wcale tego nie widzę.

KAROLIŃSKI.

Rzecz dziwna! całą noc oka nie zmrużyłem...

AUGUST.

Czy interessa ci nie pozwalały?

KAROLIŃSKI.

Znowu interessa, ah dajże mi pokój, proszę cię, co innego zupełnie.

AUGUST.

Czy przypadkiem nie jesteś zakochany?

KAROLIŃSKI. (*wstając*)

Tak mi się coś zdaje.

AUGUST.

A wczoraj mi mówiłeś, że wszystkie kobiety są fałszywe, niewierne, zalotne.

KAROLIŃSKI.

Mówilem to wistocie! to być może; są pewne dni... a potem jeszcze jej nie widziałem...

AUGUST.

Kogóż to?

KAROLIŃSKI.

Czyliż ci nie mówiłem? kobieta młoda, śliczna, łącząca do wdzięków naszych dam salonowych, jakąś słodycz, której w innych znaleźć nie można, twarz tak zajmująca, oczy... nakoniec jest to skarb mój Augustcie.

Tom II.

2.

AUGUST.

I widziałeś ją?...

KAROLIŃSKI.

W teatrze Rozmaitości.

AUGUST.

Gdzież siedziała?

KAROLIŃSKI.

W krzesłach... Tak się rzecz miała; wczoraj był tłok niezmierny, niepodobna było już dostać krzesła siedzącego, wziąłem stojące, szczęśliwym trafem stanąłem przy dwóch młodych kobietach.

AUGUST. (*uśmiechając się*)

Ah rozumiem co znaczy ten traf, my wszyscy mówimy o trafie, gdy nas piękne oczy przynęca do siebie.

KAROLIŃSKI.

Mylisz się przyjacielu; ta, o której mówię, nie zważała nawet na mnie. Postać zachwycająca, głos! najmilszy jaki kiedy słyszałem, twarz prześliczna, bo wiesz to dobrze, że na tej najczęściej się zawodzimy. Zdarza ci się bezwątpienia nieraz, być zajętym małą nóżką, ślicznym składem ciała, głosem czarującym; twoja wyobraźnia łączy do tego twarzyczkę najprzyjemniejszą, zwłaszcza, gdy tajemnicza zasłona zdaje się chcieć ukryć przed wzrokiem śmier-

telnych to, co myśl twoja w rysi bóstwa odziewa. Przyspieszasz kroku, niepewny, prześcigasz przedmiot twojej ciekawości, kilkakrotnie oglądasz się i złorzeczysz w duszy woalowi... lecz nagle lekki wiatr powstaje, unosi zasłonę, chcesz błogosławić szczęśliwemu zdarzeniu; aż tu ukazuje się oczom oblicze, na którym nielitościwa natura, kaprysów tylko swoich rysi zostawiła... Cofasz się, niejako zawstydzony i przerażony tym widokiem; to się często wydarza... to i dziśszego rana mi się przytrafiło. Ale moja nieznajoma; przedstawiła oczom wszystkie wdzięki, jakie myśl chciała mieć w niej połączone, i od tej chwili, scena już niczem była dla mnie, śmiałem się gdy się inni śmieli, dawałem oklaski gdy inni klaskali, jednakże ani oka z niej nie spuściłem, i mniemam, że to nie uszło jej bacności, gdyż otrzymałem wejrzenie, które mi do reszty głowę zawróciło.

AUGUST.

I któż jest ta młoda kobieta?

KAROLIŃSKI,

Nic o tem nie wiem.

AUGUST.

Gdzież mieszka?

KAROLIŃSKI.

I to mi nie wiadomo.

SCENA VI.

CIŻ I JERZY. (*wgłębi po lewej*).

J E R Z Y.

Pan Rościcki pragnie mówić...

K A R O L I Ń S K I.

Nie można, w tej chwili jesteśmy zajęci.

J E R Z Y.

Tylko jedno słowo.

K A R O L I Ń S K I.

Niech czeka; jest tu mowa o interessach administracyjnych; nie przeszkadzaj.

J E R Z Y.

Byłem tego pewny. (*wychodzi*)

SCENA VII.

KAROLIŃSKI, AUGUST.

A U G U S T.

No, czegoż się spodziewasz po wczorajszym wypadku?

K A R O L I Ń S K I.

Nie wiem, ale mam nadzieję.

A U G U S T.

Nie powziąwszy żadnej wiadomości?

K A R O L I Ń S K I.

Niezupełnie żadnej. Przy wyjściu, jakiś jegomość, którego kilkakrotnie widziałem na zabawach, ukłonił się mojej pięknej nieznajomej, mówił z nią, i poznałem, że równie jest uprzej-

ma jak piękną. Wspominali kilka osób, które, wiem z pewnością, iż w Końskich mieszkają, co mnie naprowadza na domysł, że i moja piękna nieznajoma ztamtąd być musi. Jakże się miewa pan Zacniewski?

AUGUST.

Co?

KAROLIŃSKI.

Może ty ją znasz?

AUGUST.

Kto, mówileś, pan Zacniewski!

KAROLIŃSKI.

Tak jest, to jej ojciec.

AUGUST.

Więc ona?...

KAROLIŃSKI.

Jest córką pana Zacniewskiego.

AUGUST. (z żywością.)

Adela!

KAROLIŃSKI.

Tak właśnie, Adela.

AUGUST. (n. s.)

Adela w Warszawie!

KAROLIŃSKI.

Zdaje mi się, że już jest zamężna.

AUGUST. (z zajęciem)

Zamężna, sądzisz, że jest zamężną?

KAROLIŃSKI.

Ha! co to się znaczy? możnaby mniemać, że ci to przykrość sprawia..

AUGUST.

Co za myśł! to dla mnie wszystko jedno..

K A R O L I Ń S K I.

I dla mnie to samo.

SCENA VIII.

CIŻ, JERZY, ROŚCICKI.

JERZY. (*za sceną*)

Ale nie, powiadam, nie wejdiesz pan, nie. (*do Karolińskiego*) Oto raport. (*do Rościckiego, który wszedł za nim*) Powtarzam panu, że nie wolno wchodzić.

R O Ś C I C K I.

Dajże pokój, przecież już wszedłem.

KAROLIŃSKI, JERZY (*w głębi*) ROŚCICKI,
AUGUST.

K A R O L I Ń S K I.

Cóż to, co to za hałas?

J E R Z Y.

To pan Rościcki, pomimo zakazu...

R O Ś C I C K I.

Przebacz pan, żem się ośmielił pozwolić sobie.

AUGUST. (*n. s.*)

Co za oryginal!

K A R O L I Ń S K I.

Do rzeczy mości panie, o cóż idzie? czegoż pan żądasz? w dwóch słowach kończmy.

ROŚCICKI. (*n. s.*)

A do kata, nie lubi szumnej przedmowy. (*głośno*) Chciałem panu dobrodziejowi przedstawić moją prośbę.

K A R O L I Ń S K I.

Gdzież jest? zobaczmy.

R O Ś C I C K I.

Pan Jerzy powinien był ją doręczyć.

J E R Z Y.

Nie widziałem żadnego oddawcy.

R O Ś C I C K I.

To rzecz szczególna; a więc przełożę ją ustnie panu dobrodziejowi.

K A R O L I Ń S K I.

Oh, to nie będzie końca temu. Dla czego pan wyjechałeś z Końskich? Nie dopełniasz swojego obowiązku, możesz utracić to miejsce.

R O Ś C I C K I.

Właśnie o to prosić przyszedłem.

K A R O L I Ń S K I.

Ah, pan żądasz być uwolnionym?... natychmiast proszę wygotować... (*do Jerzego*)

R O Ś C I C K I.

Za pozwoleniem... ja chcę utracić to miejsce, które posiadam, aby pozyskać inne, lepsze. (*Karoliński śmieje się.*) Rozśmiał się (*n. s.*)

A U G U S T.

Jak widzę, pan Rościcki nie traci głowy.

J E R Z Y.

Ani odwagi.

R O Ś C I C K I.

Panie dobrodzieju, staram się jak najusilniej o posunięcie; mam prawo, już dziesięć lat jestem urzędnikiem.

A U G U S T.

Licząc w to czas ubiegania się o urząd. ■

R O Ś C I C K I.

Bardzo przepraszam, jeżeli i to do rachuby należy, ośmnaście lat liczyć mogę. Dowiedziałem się, że urząd sekretarza...

A U G U S T.

Już przyrzeczony.

K A R O L I Ń S K I.

Możesz pan wracać do Końskich, a jeżeli jutro nie będziesz w miejscu swego urzędowania, przedstawię cię raportem.

R O Ś C I C K I.

Przebacz mi pan, ale ja nieodbić potrzebuje awansu, jestem żonaty.

A U G U S T.

Czy masz pan dzieci?

R O Ś C I C K I.

Jeszcze nie, ale tak jakbym miał, bo mieć będę.

K A R O L I Ń S K I. (*śmiejąc się*)

A więc jego synów umieścimy..

R O Ś C I C K I.

Gdybyś pan dobrodziej tymczasem o ojcu chciał pomyśleć..

K A R O L I Ń S K I.

O natręt nieżnośny!

R O Ś C I C K I.

Znany jestem powszechnie, nieskażone obyczaje, gorliwość, pilność w wypełnianiu obowiązków, niejake zdolności, jak dowodzą moje świadectwa.

K A R O L I Ń S K I.

Dobrze, dobrze, podaj prośbę jeżeli chcesz;
ale zostaw mię pan i niech go więcęj nie widzę
w Warszawie, rozumiesz...

ROŚCICKI. *(do Jerzego)*

Coś w nienajlepszym humorze dzisiaj. Dziwi
mię to, że moja żona... ale pójdę, napiszę inną
w biurze, ośmielam się spodziewać, że mój
godny poprzednik raczy ją poprzeć...

A U G U S T.

Co ja?... wcale...

ROŚCICKI. *(do Karolińskiego)*

Nader szczęśliwy, że mi pan dobrodziej przy-
rzec raczyłeś...

K A R O L I Ń S K I.

Ja nic nie przyrzekam.

JERZY. *(do Rościckiego)*

Słuchajno panie Rościcki, coś złe idzie.

R O Ś C I C K I,

Ba! ja się nie ustraszę; nie pierwszy to raz.
(wracając szybko na znak dany Jerzemu przez Karolińskiego) Pan dobrodziej raczył mię przy-
wołać...

K A R O L I Ń S K I.

Ale nie, to nie pana.

R O Ś C I C K I.

Przepraszam, po tysiąc razy przepraszam...

(odchodzi na lewo kłaniając się nisko)

SCENA IX.

KAROLIŃSKI, AUGUST, JERZY.

KAROLIŃSKI.

Jerzy, nie wpuszczać już tego człowieka. Augustcie, odjeżdżam, czy nie masz jeszcze co do podpisu?

AUGUST.

Natychmiast przyniosę. (*wchodzi do gabine-
tu na prawo*)

JERZY.

Oto są bilety zapraszające.

KAROLIŃSKI. (*biorąc je*)

Trzeba natychmiast rozesłać; bał będzie wspa-
niały, liczny, nadewszystko liczny, kobiety, ko-
biety, dla mnie już tylko jedna!

SCENA X.

KAROLIŃSKI, JERZY, ADELA.

ADELA. (*otwierając drzwi w głębi do Jerzego*)
Panie!

KAROLIŃSKI.

Dziesięć, dwanaście, piętnaście biletów.

ADELA.

Panie!

JERZY.

A to pani?

ADELA.

Oto są papiery.

JERZY,

On jest tu.

KAROLIŃSKI. (*nie oglądając się*)
Znowu ktoś...

ADELA. (*ciągle we drzwiach*)
Powiedz mu pan, żeby wyszedł.

KAROLIŃSKI.

Nie chcę widzieć nikogo. (*spostrzegając Adę*) O nieba!

JERZY.

Tak pani, trzeba odejść. (*Adela oddala się*)

KAROLIŃSKI. (*idąc spiesźnie ku niej*)

Ah proszę pani, racz się zatrzymać.

ADELA.

Ja przyszedłam tu...

JERZY.

Pani przyniosła papiery...

KAROLIŃSKI.

Papiery? dawaj, zobaczmy; niech pani siada, bardzo proszę. (*n. s.*) Dziś jest jeszcze piękniejsza.

ADELA. (*n. s.*)

Widziałam gdzieś tego pana!

KAROLIŃSKI. (*przerzucając papiery*)

Prośba... Rościcki. Ah to się tycze pana Rościckiego?

ADELA.

Tak jest panie, mojego męża.

KAROLIŃSKI.

Męża pani! mogłoby to być? pan Rościcki...
mąż pani?

A D E L A.

Zapomniał papiery... może już za późno?

K A R O L I Ń S K I.

O nie, bynajmniej, upewniam panią. Pan Rościcki! A to przedziwnie, jest właśnie tu w biurze! Jerzy, poszukaj pana Rościckiego, powiedz mu, że czekam na niego, że chcę z nim pomóc nim wyjdzie.

J E R Z Y.

Więc może się z panem widzieć?

K A R O L I Ń S K I.

Tak jest, powiedziałem ci, że czekam na niego, idź więc.

J E R Z Y. (n. s.)

Oh czemuż ja nie mam młodej i ładnej żony, byłbym już do tego czasu najmniej radcą. (*wychodzi drzwiami w głębi po prawej*)

SCENA XI.

K A R O L I Ń S K I. A D E L A.

A D E L A. (*po pauzie*)

Może przeszkadzam panu.

K A R O L I Ń S K I.

Mnie pani, przeciwnie. Jestem tak szczęśliwy... myślałem właśnie o niej.

A D E L A.

O mnie?

K A R O L I Ń S K I.

Widziałem już panią dnia wczorajszego.

A D E L A.

Ah tak, przypominam sobie, w Teatrze Roz-
maitości.

K A R O L I Ń S K I.

I wyszedłem zachwycony prawie.

A D E L A.

I ja...

K A R O L I Ń S K I.

Pani!...

A D E L A.

Widowisko było nader zajmującym...

K A R O L I Ń S K I.

Czy tak pani sądzi? nie uważałem wcale, by-
łem zupełnie czém inném zajęty.

SCENA XII.

CIŻ I AUGUST. (*wychodząc z gabinetu*)

A U G U S T.

Jeszcze trzy podpisy i będziesz wolnym. Ale
proszę mi przebaczyć...

K A R O L I Ń S K I.

Ah to ty mój przyjacielu! (*z cicha*) No, mo-
ja piękność wczorajsza...

A U G U S T.

Pani! (*n. s.*) to ona!

ADELA. (*n. s.*)

August!

AUGUST. (*zaniepokojony, kłaniając się*)

Przebacz pani, nie spodziewałem się wcale

Tom II.

3.

przyjemności widzenia jej w tych miejscach.
(*n. s.*) Oh! gdyby jego tu nie było!

KAROLIŃSKI. (*n. s.*)

żeby sobie poszedł czém prędzej.

ADELA. (*z wzruszeniem do Augusta*)

Panie!

KAROLIŃSKI.

Jak uważam, znajomą ci jest rodzina pani Rościckiej?

AUGUST.

Pani Rościckiej? jakto! ten pan... (*n. s.*) biedny! ale będzie sekretarzem!

SCENA XIII.

CIŻ, ROŚCICKI, JERZY. (*wchodząc głębia*)

JERZY. (*anonsując*)

Pan Rościcki!

KAROLIŃSKI. (*idąc naprzeciw niego z pośpiechem*)

Ah moiści panie, przybywajże, szukają cię, wzywają!...

ROŚCICKI. (*nie śmiejąc postąpić*)

Przebaczcie mi panowie, iż po przyjęciu jakie otrzymałem, nie śmiem... (*do żony*) Ah, jesteś tu...

KAROLIŃSKI.

Jako? kilka słów wyrzeczonych w niecierpliwości...

AUGUST. (*n. s.*)

Szkaradny człowiek.

KAROLIŃSKI.

A potem nie widziałem jego papierów, jego autentycznych dowodów...

AUGUST. (*patrzac na Adelę, n. s.*)

Tak, teraz już zobaczył autentyczne dowody.

KAROLIŃSKI.

Teraz mam je w ręku. Pani Rościcka raczyła mi je oddać.

ADELA.

Tak mój przyjacielu, znalazłam je po dosyć długim wyszukiwaniu.

AUGUST. (*n. s.*)

Jej przyjaciel!

ROŚCICKI.

Jakże pan o nich sądzisz?

KAROLIŃSKI. (*patrzac ukradkowo na Adelę*)

Doskonale... bardzo piękne... nie potrzeba lepszych...

AUGUST.

Czytaliśmy je razem.

ADELA. (*n. s.*)

Jak zmyśla!

ROŚCICKI.

Czy tak? Oh byłem pewny, że gdy panowie lepiej rozpoznacie...

KAROLIŃSKI.

Ja mniemam, że panu prawnie ten urząd przy-

należy. Sekretarstwo, sześć tysięcy, gratyfikacje, mieszkanie bardzo ładne, obok mojego; jakże, czy się panu to podoba?

R O Ś C I C K I.

Ah moi panowie, doznaję tak wielkiego wzruszenia. (*z cicha do żony*) Przyznaj sama, że o-
ba bardzo uprzejmi; widzisz jak to przyjmują
utalentowanego człowieka.

A U G U S T.

Pani zapewne obawia się zostać w Warszawie.

A D E L A.

Ja? bynajmniej, jeżeli mój mąż zostanie umie-
szczonym...

K A R O L I Ń S K I.

To pewna.

R O Ś C I C K I.

Będzie jej cokolwiek trudno przyzwyczać się,
ale jak pozna przyjemności stołeczne, widowi-
ska, bale...

K A R O L I Ń S K I.

Masz pan słusność, trzeba panią zaprowadzić
na bal; mam nadzieję, że ich tego wieczora wi-
dzieć będę u mojej siostry.

A D E L A.

Jakto panie?

R O Ś C I C K I.

U siostry pana dobrodzieja?

A U G U S T.

Tak jest, znajdziecie państwo w swoim mie-
szkaniu bilet zaproszenia.

A D E L A.

Na dziś wieczór?

K A R O L I Ń S K I.

Panie Rościcki, na balu otrzymasz odpowiedź,
nie omieszkaj więc być obecnym.

R O Ś C I C K I. (n. s.)

Będę na nim, bez żadnej wątpliwości. (*z cicha
do żony*) Cóż mówisz, zaproszenie!

A D E L A. (*do siebie*)

Ah co za rokosz!... ale mój ubior... (*głośno*)
Mój przyjacielu, jeżeli mamy jechać?...

R O Ś C I C K I.

Mości panowie...

K A R O L I Ń S K I.

Zegnam cię panie Rościcki, kochany sekre-
tarzu. Pani...

A U G U S T.

Zobaczemy się na balu, panie Rościcki.

R O Ś C I C K I.

Panowie... mój protektorze! przyjacielu! je-
stem tak zdziwiony, zmieszany!... mam honor
jak najuprzejmiej pożegnać ich.

A U G U S T.

Do wieczora!

K A R O L I Ń S K I.

Przybywajże wcześniej, kochany Rościcki (*po-
żegnawszy go, odprowadza panią Rościckę do*

drzwi; gdy mąż się zbliży, oddała się od niej, oddając wzajemny ukłon Rościckiemu; wychodzi przez drzwi po lewój stronie.)

SCENA XIV.

AUGUST, KAROLIŃSKI.

KAROLIŃSKI.

No, Augustcie, jakże ci się podoba?

AUGUST.

Zachwycająca.

KAROLIŃSKI,

Co za połączenie słodczy, wdzięków, żywot-
ści! postać, oczy i mąż... przewyborny!

AUGUST.

Wyrażasz się z takim zapalem...

KAROLIŃSKI.

Bo ją kocham... ale! kocham prawdziwie.

AUGUST.

W istocie? (*n. s.*) i mnie to wyznaje?

KAROLIŃSKI.

Mniemam, że i ona kochać mię będzie: he? co mówisz?

AUGUST.

Nie wiem. (*n. s.*) To właśnie zobaczymy.

SCENA XV.

CIŻ I WAGOMIR. (*wchodząc drzwiami po le-
wej z raportem wręku*) JERZY (*w głębi po prawej*)

WAGOMIR.

Oto jest prośba tycząca się urzędu, który mój
siostrzan...

K A R O L I Ń S K I.

Ah urzędu... tak, wiem... pomówiemy o tem.
Jerzy! czy bilety rozesłane?

JERZY. *(wchodzi pomiędzy Augusta i Wagonira)*

Właśnie w tej chwili...

K A R O L I Ń S K I.

Posłażesz panu Rościckiemu?

J E R Z Y.

Ale wielmożny pan mówił mi...

K A R O L I Ń S K I.

Otóż i mamy, zapomniał!

J E R Z Y.

Ale panie...

A U G U S T.

Eh spiesz, niech będzie najpierw posłany
panu Rościckiemu?

(Jerzy zbliża się do stołu i składa list.)

W A G O M I R.

Panie Karoliński, protegowany przez jego
siostrę...

K A R O L I Ń S K I. *(słuchając zaledwie)*

Siostrzeniec pański, wiem, wiem dobrze, umieścimy go, niech będzie spokojnym: ale są
prawa dawniejszej służby, ważnych usług; na-
koniec przedewszystkiem należy być sprawie-
dliwym. Do wieczora, kochany Wagonirze. *(od-
chodzi.)*

W A G O M I R.

Alc, panie Auguście... -

A U G U S T.

Czegóż pan chcesz jeszcze? jeżeli są ubiegający się tacy, o jakich mówi pan Karoliński, należy być sprawiedliwym. *(odchodzi)*

WAGOMIR. *(do Jerzego)*

Należy być sprawiedliwym, należy być sprawiedliwym. Przekonasz się, że niesprawiedliwość popełnią.



AKT II.

(Teatr wystawia pokój bogato przybrany, drzwi w głębi i boczne po obu stronach. Pantaljon po prawej. Po lewej stoliki do gry. Scena oświetlona jak do balu. Słychać grającą orkiestrę w przyległym salonie.)

SCENA I.

(Za podniesieniem zasłony, Wagonir siedzi przy pantaljonie.)

PANI ŻERAŃSKA. *(wchodząc głębia)*

(do służącego) Zanieś lody do salonu! Bal przepyszny! Ah, to ty Wagonirze?

WAGONIR.

Tak jest, na jej rozkazy.

ŻERAŃSKA.

Jakto! sam w tym pokoju, zapewne się nudzisz?

WAGONIR.

I owszem pani, bawię się, bardzo się bawię. Na balu są trzy klasy osób widoczne: grających, tańczących i uważających; ja należę do ostatniej... nie gram, nie tańczę już, uważam

tylko grających i patrzę na tych co tańczą; będąc już w lat mych zimie, nie zwracam niczyjej uwagi na siebie: ale bacznie uważam wszystkich; słyszę co mówią, widzę co się dzieje, i powracam do siebie więcej odniosłszy w zysku, niżeli wielu mężów i matek.

Ż E R A Ń S K A.

No jesteśmy sami, czy odkryłeś co?

W A G O M I R.

Oh tego wieczora, zupełnie co innego; widzisz mię pani niespokojnym, bardzo niespokojnym o naszą własną sprawę.

Ż E R A Ń S K A.

Jakto?

W A G O M I R.

Tak pani, o naszą własną sprawę: albowiem dzisiaj moje spostrzeżenia tyczą się mego siostrzeńca, (*półgłosem*) pani wiadomo, tego nie dobrego, trzpiota, którego przyszłością raczyłaś się zająć ze względu, że ma dobrą głowę.

Ż E R A Ń S K A.

I mówisz, że jesteś niespokojny o twojego siostrzeńca?

W A G O M I R.

Nie inaczej, urząd, o który się stara, i który mu pani przyrzekłaś, ominie go niezawodnie.

Ż E R A Ń S K A.

To niepodobna, będzie go miał, mój brat mi to przysiągł.

W A G O M I R.

Tak, ale widac, że on dwa razy przysiągł.

Ż E R A Ń S K A.

Z jakiegoż powodu?

W A G O M I R.

Tego nie wiem, ale uważam pilnie i będę wiedział. Może jaka ładna suplikantka; jeżeli jest tutaj, poznam ją niezawodnie; ale aż do tej chwili tańczył tylko z żoną swojego adwokata; a co się tycze urzędów, żony adwokatów nie są niebezpieczne, albowiem ich mężowie zawsze w dobrych pierzach się znajdują.

Ż E R A Ń S K A.

A ja ci powiadam kochany Wagomirze, że tracisz czas na próżno, mój brat jest młodym, roztargnionym, ale nazbyt baczny, aby miał się wystawić na gniew stryja, który wczoraj jeszcze mu groził, że go przeniesie gdzieś indziej, jego, który w Warszawie tylko jest szczęśliwym.

W A G O M I R,

Być może... więc pani sądzisz, że jej brat?...

Ż E R A Ń S K A.

Niczego mi nie odmówi i przyrzekam ci...

SCENA II.

CIŻ I KAROLIŃSKI.

KAROLIŃSKI.

Dziewiąta godzina! jeszcze ich nie ma!

ŻERAŃSKA.

Ah, właśnieśmy o tobie mówili, mój bracie.

KAROLIŃSKI.

Czy tak? wdzięczny za łaskawą pamięć, a cóżecie o mnie mówili, niech się dowiem? (*patrząc na zegarek*) Rzecz szczególna, już powinni być tutaj.

ŻERAŃSKA.

Mówiłam, że gdybyś mi nie dotrzymał danego przyrzeczenia, całe życie bym ci nie przebaczyła.

KAROLIŃSKI. (*zajęty*)

Otóż oni! nie... (*do siostry*) Wszakżem ci powiedział, że jesteś bardzo łaskawa.

WAGOMIR.

Jak uważa!

ŻERAŃSKA.

Nie rozumiesz mię, mówię o siostrzeńcu pana Wagomira.

KAROLIŃSKI.

Ah! mój Boże, podobno na mnie kolej tańczenia.

ŻERAŃSKA. (*zatrzymując go*)

Nie, jeszcze masz czas wyjaśnić nam, wytłómacz się. Zdaje mi się mój bracie...

KAROLIŃSKI,

Zdaje mi się moja siostro, że to nie jest ani miejsce ani czas do mówienia o interessach. Cóż u kata, żeby aż na balu nie dać mi pokoju. (*z cicha*) Nie przyjdą dziś.

WAGOMIR. (*do pani Żerańskiej*)

A co nie mówiłem?

ŻERAŃSKA.

Ale nakoniec...

SŁUŻĄCY. (*anonsując*)

Państwo Rościccy.

SCENA III.

CIŻ, ADELA, ROŚCICKI.

KAROLIŃSKI. (*n. s.*)

Ah oddycham. (*idąc na ich spotkanie*) Jakaż przyjemność dla nas, w istocie byliśmy w obawie, że dziś już widzieć ich nie będziemy.

WAGOMIR. (*do pani Żerańskiej z cicha*)

Aha, barometr zaczyna okazywać stan atmosfery.

ROŚCICKI. (*biorąc szal swojej żony*)

Nieco późno, ale to nie nasza wina... nie mając powozu, musieliśmy dorożką...

ADELA. (*do męża*)

Cicho.

Tom II.

4.

K A R O L I Ń S K I.

Siostro, przedstawiam ci pana Rościckiego, jednego ze znakomitych urzędników...

WAGOMIR. *(do p. Żerańskiej)*

Sliczna postawa męża!

R O Ś C I C K I.

Mości panie! ileż... tak... chciałbym... bo moja żona... *(niby przedstawiając ją.)*

WAGOMIR. *(do p. Żerańskiej)*

Otóż na najlepszem skończył... ona pewno coś więcej powie, aniżeli ten znakomity urzędnik, któremu ładne oczy żony, policzono na karb zasługi.

K A R O L I Ń S K I.

Powinniśmy złożyć podziękowanie, żeś pani raczyła przyjąć nieco późne zaproszenie.

A D E L A.

Ja to raczej powinnam podziękować za uprzejmość z jaką nas pan przyjmować raczysz.

R O Ś C I C K I.

W istocie tak jestem pomieszczany... że... nie mogę...

WAGOMIR. *(z cicha)*

Że nie mogę nic powiedzieć...

ADELA. *(do męża)*

Mileczko.

Ż E R A Ń S K A.

Pani powinna być przyzwyczajoną do tak uprzejmego przyjęcia.

A D E L A.

Zbyt wiele grzeczności. (*z cicha do męża*)
Niepodoba mi się ta kobieta, ma twarz tak szty-
derską.

ROŚCICKI. (*z cicha do żony*)

Nie znasz się na tem, w stolicy tak być musi,
to jest twarz wielkich panów.

ŻERAŃSKA. (*z cicha do Wągomira*)

Ruch niezgrabny, prowinejonalny i nie wię-
cej... nie wiem co się tu podobać może.

WAGOMIR. (*z cicha do Żerańskiej*)

Odmiana... świeżość...

K A R O L I Ń S K I.

Porzućmy komplementa; trzeba wynagrodzić
czas stracony. Czy pani lubi tańczyć?

R O Ś C I C K I.

Do szaleństwa.

K A R O L I Ń S K I.

A muzykę.

A D E L A.

Znam ją nieco.

R O Ś C I C K I.

Dobrze ją zna, ale jak zna! śpiewa prześlicznie.

K A R O L I Ń S K I.

Uważ siostró, wszystkie talenta razem, co za
czarująca kobieta! (*przypominając sobie*) Ah!

ŻERAŃSKA. (*do Wągomira*)

Ah!

W A G O M I R.

Ah!

K A R O L I Ń S K I.

Mam nadzieję, że pani nie odmówisz nam przyjemności słyszenia jej głosu? Tymczasem, jeżeli pani życzysz sobie przejść do salonu, zamawiam panią do pierwszego kontredansa.

A D E L A.

Bardzo chętnie.

K A R O L I Ń S K I.

A ciebie siostró do drugiego; widzisz, że nie zapominam o tobie.

Ż E R A Ń S K A.

Jesteś bardzo uprzejmym (*patrząc na Wago-*
mira) dla pani Rościckiej.

W A G O M I R.

Coś więcej jak uprzejmym.

K A R O L I Ń S K I.

Panie Rościcki, zobaczemy się z sobą, pomówiemy o interesie.

R O Ś C I C K I.

Jestem na rozkazy. (*do żony*) Widzisz żono co to jest zasługa!

A D E L A. (*z cicha*)

Bądźże cicho (*mówi do męża i nie uważa na Karolińskiego*)

K A R O L I Ń S K I. (*podając rękę*)

Pani...

ROŚCICKI. *(do żony)*

Uważajże przecię.

(Adela podaje rękę Karolińskiemu wychodząc drzwiami w głębi; Rościcki odprowadza ich aż do drzwi.)

WAGOMIR. *(do p. Żerańskiej)*

To zaczyna być podejrzanem, taki sposób postępowania i taki mężulo... Idę na moje stanowisko. *(podaje rękę p. Żerańskiej i wychodząc drzwiami w głębi, odchodząc patrzą na Rościckiego i klaniają mu się)*

SCENA IV.

ROŚCICKI. *(sam, z jedną ręką na drugą przekładając szal.)*

Mam honor... jak na mnie spoglądali! Widać że mam postać godnej osoby! Co za przyjęcie, Pan Karoliński jak grzeczny! to ich zadziwia! bardzo wierzę, i mnie także. A ci poczciwi ludzie w Końskich, odradzali mi podróż do Warszawy, mówili, że nie otrzymam wakującego miejsca; gdyby teraz wiedzieli, że nas zaproszono na bal, że szef tańczy z moją żoną; ręczę, że urząd będę miał wkrótce.

4*

SCENA V.

ROŚCICKI, AUGUST. (*wchodzi śródkowemi drzwiami*)

AUGUST.

Ah pan Rościcki, czy dawno już tutaj?

ROŚCICKI.

Tylko co przyjechałem. Ah to pan August, który dzisiejszego rana tyle się mną zajmował.

AUGUST.

Wszystko co się pana tycze, mocno mnie zajmuje, upewniam go. A pani Rościcka?

ROŚCICKI.

Moja żona? jest ze mną.

AUGUST.

Jest tutaj?

ROŚCICKI.

Tak... patrz pan, tańczy w tej chwili z panem Karolińskim.

AUGUST.

Ah! (*n. s. z gniewem*) Byłem tego pewny!

ROŚCICKI.

Panie Auguste, ponieważ jesteśmy sami, i ponieważ pan zdajesz się okazywać tyle dla mnie przyjaźni, powiedz mi szczerze, czy mam jakie nadzieje pozyskania urzędu?

AUGUST.

Czy pan masz! nawet bardzo wielkie, (*n. s.*) szczególnie w tej chwili. (*głośno*) Ah mój Bo-

że, panie Rościcki, zapewne mu przykro, ten szal... pozwól...

R O Ś C I C K I.

Nie bynajmniej, nie zniósłbym tego. Wszak tędy? (*chce wyjść na lewo.*)

AUGUST. (*zatrzymując go*)

Nie, nie, tą stroną kochany Rościcki.

R O Ś C I C K I. (*w kulisie*)

Bardzo dziękuję.

A U G U S T.

Odszedł. Ale, jeżeli się nie mylę, przestano tańczyć. Spieszmy nim znowu zostanie zaproszoną.

SCENA VI.

ADELA. AUGUST.

A D E L A.

O nieba! August!

A U G U S T.

Nakoniec widzę cię samą Adelo.

ADELA. (*czyniąc poruszenie do wyjścia*)

Przebacz pan, szukałam mojego męża.

AUGUST. (*zatrzymując ją*)

Jako! uciekasz odemnie? ah przez łitość zostań pani, nie wydzieraj mi tej jedynej chwili szczęścia, którem cieszyłem się dawniej.

A D E L A.

Pan zapominasz, że już jestem zamężną.

AUGUST.

Zameżną! ah ten wyraz przypomina mi moje nieszczęście, i twoje przewinienie. To serce, które do mnie należało, ta ręka mi przyrzeczona, ten tytuł małżonka co moim miał być tytułem, wszystko to innego stało się udziałem! inny otrzymał te prawa, które mnie zaprzysięgłaś. (*poruszenie Adeli*) Tak przypomnij sobie te pełne uciech wieczory, kiedy my wpośród otaczającego nas tłumu, wzajemnem spojrzeniem, wyjawialiśmy sobie miłość i szczęście; kiedy zwodząc zawistną baczość, każdego dnia przy oddaleniu, twoje pełne szczeroty przywiązanie, znajdowało sposobność podania mi bukietu róż, który zdobił twoje łono.

ADELA.

Bukietu róż... wszakże widzisz panie Auguste że już ich nie noszę.

AUGUST.

Widzę teraz pani, żeś mię nigdy nie kochała.

ADELA.

Auguste, posłuchaj mię. Nie starałam się o wyjaśnienie ci tego, ale nie opuszczę sposobnej chwili. Kochałam cię, wiesz o tem, i nie wyrzucam sobie tego: kochałam cię; ale po twoim wyjeździe, pan Rościński ukazał się w naszym do-

mu, prosił o moją rękę; ojciec kazał mi go poślubić Augustcie, sądziłam, żeś o mnie zapomniiał, a jednakże długo się opierałam; byłam ci wierną mimo twojej niepamięci, milczenia; nie taję ci nawet, że nieraz wzdychałam do przyjaciela mojej młodości.

AUGUST.

Co słyszę! pamiętałaś o mnie?

ADELA.

Ale nakoniec, musiałam wypełnić rozkaz ojca. Od tej chwili powinnością było wydrzeć z mojego serca uczucia, będące już występkiem. Dziś mam męża, którego szacuję, kocham, który mię czyni szczęśliwą. A ty, jeżeli to prawda, że kochasz mię jeszcze, nie zechcesz zakłócać mojej spokojności, zapomnij mię, jak powinnam cię była zapomnieć.

AUGUST.

Ciebie zapomnieć! Pani jestże to w mojej mocy? ten bal, te przygotowania do koncertu, wszystko zdaje się łączyć, aby mi przywieść w pamięci ten dzień, kiedy po raz pierwszy serca nasze się zrozumiały. Widzę cię jeszcze siedzącą przy pantalonie, szczęśliwy los zdarza, że mię obrano do towarzyszenia pani, nie wiem jakim zadziwiającym trafem, słowa tak dobrze

zgadzają się z stanem mej duszy. Ale kiedy po skończonym śpiewie romansu, wśród licznych oklasków, podałem ci pani rękę, aby cię na miejsce odprowadzić, nasze serca jedno zajęło tchnienie, które się wydało tajemnym dłoni naszej uściskiem, i już oboje uczuć naszych byliśmy świadomi.

A D E L A.

Auguście przez litość, przestań!

A U G U S T.

Ah gdybym przynajmniej mógł sądzić, że wspomniałaś kiedy o mnie, że ten romans tak ulubiony niegdyś od ciebie, nie wygasł z twojej pamięci.

A D E L A.

Romans... który? umiem ich tyle.,

A U G U S T.

Dosyć, dosyć pani; jestem zbyt nieszczęśliwym, i pozostaje mi tylko uwolnić cię pani od przykrości, którą wniesca moja obecność. (*chce odejść.*)

SCENA VII.

ADELA. ROŚCICKI. AUGUST.

ROŚCICKI. (*zwracając Augusta*)

Gdzieś odchodzisz kochany Auguście, wszyscy tu idą, będą śpiewać.

AUGUST.

Daruj mi pan, lękam się być natrętnym pani Roscickiej.

ROŚCICKI.

Ale co mówisz?... moja żona, pamięta dobrze jak cię widywała w Końskich, wspomina często o tobie.

AUGUST. (z żywością)

Często! Ah pani była tak dobrą...

ADELA. (zmieszana)

Ja mości panie? mój mąż się myli.

ROŚCICKI.

Ale moja żono, dajże pokój, już ci wspominałaś dosyć często, ale mniejsza o to. Co za roskosz bał w Warszawie. Te ubiory, złoto, kamienie, kwiaty... Ah prześliczne kwiaty; tego właśnie twojemu ubiorowi niedostaje. Ale mając męża takiego jak ja grzecznisia... (ofiaruje jej różę.)

ADELA.

Ah!

ROŚCICKI.

Ah! widzisz, że wiem co namiętnie lubisz...

AUGUST.

Różę!... może to są kwiaty, które pani nie nawidzi.

ADELA.

Mylisz się pan, wszystkie kwiaty ofiarowane od męża, są mi przyjemne.

R O Ś C I C K I.

To coś powiedziała moja najdroższa, jest bardzo pochlebnem dla mnie, ale nie stanowi abyś nie miała w różach szczególniejszego upodobania, bo od naszego pobrania się, codziennie róże masz przy boku.

ADELA. (*cicho*)

Dosyc, dosyc tego.

A U G U S T.

Mogłoby to być?

R O Ś C I C K I.

No cóż ci się stało? Dziwna ta moja żona. nie mogę nawet tego powiedzieć, że róże teraz lubisz.

ADELA. (*n. s.*)

O mężowie!... mężowie!...

SCENA VIII.

WAGOMIR, ŻERAŃSKA, ADELA, ROŚCICKI.
KAROLIŃSKI. AUGUST.

KAROLIŃSKI. (*wchodząc*)

Damy raczą zająć się muzyką, panowie, oto stoliki do gry wista, ecarte, lombra... pozwólmmy odpocząć orkiestrze. Każda zabawa ma swoją kolej. (*cicho do Augusta*) Mówilem z nią tańcząc, co za dowcip! gdybyś wiedział.

AUGUST. (*cicho do Karolińskiego*)

Ręczę ci za niego.

ŻERAŃSKA. (*do Wągomira*)

Jakto w istocie? sądzisz...

W A G O M I R.

Pewny jestem, zobaczysz pani.

K A R O L I Ń S K I.

Siostro, bądź tak dobrą i rozpocznij grę z którymkolwiek z tych panów (*prędko*) z panem Rościckim.

Ż E R A Ń S K A.

Jak najchętniej.

R O Ś C I C K I.

Ja panie? zbyt wiele zaszczytu, pani (*n. s.*)
Tam do kata! z panią domu to dobra nadzieja.
(*siada przy stoliku.*)

WAGOMIR. (*do p. Żerańskiej prowadząc ją do stolika*)

Uważasz pani, mąż do ecarté, jest to ich zwykłe miejsce.

Ż E R A Ń S K A.

Cicho! pozwól mi działać.

AUGUST. (*cicho do Adeli*)

Ah pani, byłoby to prawdą...

KAROLIŃSKI. (*do Augusta*)

Słuchaj Auguście, gdybym ją prosił, żeby nam zaśpiewała? musi mieć piękny głosik.

AUGUST. (*do Karolińskiego*)
Prześliczny.

Tom II.

5.

K A R O L I Ń S K I.

Pani dobrodziejka nie odmówi nam przyjemności słyszenia jej śpiewającej.

A D E L A.

Prawdziwie, nie śmiem...

R O Ś C I C K I. (*obracając się*)

Śpiewaj moja żonko, śpiewaj. Gra już zrobiona.

Rościcki przy stole siedzi tyłem do żony, p. Żerańska na przeciw niego, Wągomir obok niej.)

AUGUST. (*wziąwszy papiery z pantafjonu*

Gdyby pani raczyła wybrać? oto są kawatyny, romanse, arje...

R O Ś C I C K I.

Romanse, moja żona bardzo mocną jest w romansach.

K A R O L I Ń S K I. (*patrzac na grę*)

Bardzo pięknie grane..

A U G U S T.

Otóż jeden z nich. Oświadczenie.

A D E L A.

Ale...

R O Ś C I C K I.

Oświadczenie? Ah znam go, jest to romans który moja żona śpiewa z taką expressją. Zbieram.

AUGUST.

Jako, pani to śpiewa czasami?

ROŚCICKI.

Codziennie prawie to tylko słyszę (*śpiewa pierwszy wiersz*)

Już nie wyjawiaj skrytości!

AUGUST.

W istocie?

ŻERAŃSKA.

To rzecz szczególna! to właśnie jest ulubiony śpiew pana Augusta... Gdybyś pan więc raczył towarzyszyć na pantaljonie?

AUGUST. (*z razu prędko*)

Z największą ochotą... jeżeli tylko pani raczy pozwolić.

ROŚCICKI.

Pozwoli, pozwoli, dla czegożby nie, i owszem...

ADELA. (*z przykrością niejako*)

Ponieważ tego żądają koniecznie...

KAROLIŃSKI.

Jako! to on! a ja miałem nadzieję!... to wszystko jedno, będę słuchał.

ŻERAŃSKA. (*cicho do Wągomira, w czasie przegrywki.*)

Przynajmniej nie mój brat akompanjować będzie, moralność przede wszystkim...

ADELA. (*śpiewa*)

Już nie wyjawiaj skrytości,

Ona mą duszę ocala,

Jeżeli istnieje głos miłości

Lepiej zrozumieć go zdala.

Wzrok, czuły i uśmiech tkliwy,

I pełne uczuć westchnienie,

Skrytości dowód prawdziwy:

Jam go pojęła — milczenie.

KAROLIŃSKI. (*z cicha do Augusta*)

Ah mój przyjacielu! cudownie!.. zgodnie z moją
chęcią wybrałeś, dziękuję ci.

AUGUST. (*z cicha do Karolińskiego*)

Nie masz za co.

WAGOMIR. (*do pani Żerańskiej*)

Czy widzisz pani jak na nią patrzy.

Ż E R A Ń S K A.

Cicho, druga zwrotka.

R O Ś C I C K I.

Ah tak druga zwrotka. Przepadam za drugą
zwrotką; ale kończmy.

ADELA. (*śpiewa*)

Ah ty żądasz odpowiedzi,

Serce ją ukrywać umie,

Nikt jej pewnie nie wyśledzi,

'Ten kto czuje, ten zrozumie.

Lecz gdy widzisz pomieszanie;
Że nie z gniewu się rumienie,
To niech za odpowiedź stanie:
Odgadłeś ją -- lecz milczenie.

K A R O L I Ń S K I.

Ah pani, nie można śpiewać z większym wdzię-
kiem, z większym czuciem (*z cicha do wstają-
cego Augusta*) Zdaje mi się, że westchnęła!

A U G U S T.

Tak sądzisz?

R O Ś C I C K I.

Cóż nie mówiłem? wygrałem. (*wstają*)

ŻERAŃSKA. (*do p. Rościckiej*)

Ali pani, jakże ci mam podziękować... oh mój
Boże! cóż to jest? ta twarz cierpiąca!...

ADELA. (*z żywością, widząc poruszenie Au-
gusta*)

Nie pani nie; nie będąc zwyczajną śpiewać
w obec zgromadzenia, ale taniec to rozprószy.

WAGOMIR. (*podając rękę p. Rościckiej.*)

Pani chce przejść do salonu (*do Augusta i
Karolińskiego*) Przepraszam, żem was uprze-
dził moi panowie (*z cicha do p. Żerańskiej po-
dając jej drugą rękę*) Jeżeli mężuło tej damy
stara się o urząd przyrzeczony memu siostrza-
nowi, już po wszystkim. (*wychodzą*)

KAROLIŃSKI.

Ah mój przyjacielu jestem rozkochany, ale
do szaleństwa rozkochany.

AUGUST. (*n. s.*)

Biedny człowiek... żal mi go.

SCENA IX.

KAROLIŃSKI. AUGUST. ROŚCICKI.

(*Osoby, które się bawiły grą, zwolna opuszczają scenę.*)

1. SŁUŻĄCY. (*wchodzi z tacą, podając panu Karolińskiemu*)

Panie...

2. SŁUŻĄCY. (*podając Augustowi*)

Panie!

KAROLIŃSKI. (*do służącego*)

Nie mnie... tutaj panu Rościckiemu.

AUGUST.

Dziękuję, tym panom... panu Rościckiemu.

SŁUŻĄCY. (*oba, idąc do Rościckiego*)

Niech pan...

ROŚCICKI. (*biorąc szklankę ponczu i ciasto*)

Mości panowie, prawdziwie, jestem zawstydzony, tyle uprzejmości, tak pochlebne przyjęcie... (*n. s.*) zarzucą mię temi ciastami i grzecznością.

K A R O L I Ń S K I.

Przejrzałem pańskie papiery.

R O Ś C I C K I.

Ah pan dobrodziej jesteś tak dobrym...

A U G U S T.

Masz pan prawo do tego urzędu.

R O Ś C I C K I. *(dalej mówiąc)*

Tak grzecznym...

K A R O L I Ń S K I.

Otrzymasz nominację; mając tak piękną zd_ tność, takie zasługi...

R O Ś C I C K I.

Tak jest, moja zdatność, zasługi...

A U G U S T.

Można zejść daleko kochany przyjacielu.

K A R O L I Ń S K I.

I zajdziesz daleko, mój nieoszacowany Ro_ ścicki.

R O Ś C I C K I.

Ah panowie!... prawdziwie... ale...

K A R O L I Ń S K I.

Słuchajno, mówiąc między nami, mam pro_ jekt; pan Wagomir, asessor prawny, już jest w wieku, strudzony, siedmdziesiąt lat... kaszel...

R O Ś C I C K I.

Pan Wagomir, mówisz pan dobrodziej, ases_ sor prawny.

A U G U S T.

Ten urząd byłby bardzo stosowny dla pana.

R O Ś C I C K I.

Najstosowniejszy; do-kata! dla mnie wszystkie urzędy są stosowne.

K A R O L I Ń S K I.

Tymczasem musisz pan przyjąć sekretarstwo.

A U G U S T.

Tymczasem...

R O Ś C I C K I.

Dobrze, przyjmę sekretarstwo.

A U G U S T.

Zamieszkas w Warszawie..

K A R O L I Ń S K I.

Nigdy się nie rozłączemy. (*stychać muzykę*)

R O Ś C I C K I.

Ah moi panowie...

K A R O L I Ń S K I.

Orkiestra grać zaczyna!... żegnam cię panie Rościcki, bądź pewny mojej pomocy, zawsze będziemy razem. (*cicho do Augusta*) Pójdę tańczyć z jego żoną..

R O Ś C I C K I.

Zbytek dobroci.

A U G U S T.

Idę z tobą. (*n. s.*) Na honor zazdrosny jestem o niego. (*dn Rościckiego*) Bądź pewnym, że i ja o tobie nie zapomnę: Karoliński czekaż na mnie (*wychodzą oba.*)

SCENA X.ROSCICKI. (*sam*)

Al! moi panowie, nie wiem jak zdołam za-
wdzięczyć... Na honor, zacni ludzie, tak usłu-
żni!... Miejsce pana Wagomira; tém gorzej dla
niego, nie znam tego jegomości, dają mi jego
urząd, biorę. Koniec końcem okazuje się, że
mam zasługi, długo ich nie postrzegano... i zda-
je mi się nawet, że dopiero od chwili gdy się
ożenił, zaczęto więcej na mnie zwracać uwa-
gi; nic dziwnego więcej znajomości, większa
sposobność okazania się. Teraz wykrywa się
wszystko, nie mam żadnej przyczyny zatrzymy-
wać się: będę iść dalej, ciągle dalej, tym tylko
sposobem można wyżej postąpić. (*muzyka u-
staje.*)

SCENA XI.

ROSCICKI, WAGOMIR.

W A G O M I R.

Jest sam, muszę się koniecznie dowiedzieć jak
idą rzeczy. (*głośno*) Panie...

R O Ś C I C K I.

Cóż pan rozkaże?

W A G O M I R.

Jak uważam pan nie tańczy?

R O Ś C I C K I.

Bardzo mało, prawie nic; taniec są to stracone kroki, a ja lubię tylko pewne.

W A G O M I R,

Rozumiem, pan myślisz tylko o krokach do pozyskania urzędu.

R O Ś C I C K I.

Być może; w istocie, to większą korzyść przynosi aniżeli kontredanse.

W A G O M I R.

Jakże jego zabiegi, czy pomysłyne?

R O Ś C I C K I.

Tak nieco; uniosę ztąd przyrzeczenia, nadzieje...

WAGOMIR. (*n. s.*)

Otóż mamy. (*głośno*) Jak uważam to pan w sprawie swojego urzędu przybyłeś na bal?

R O Ś C I C K I.

Nie taję.

W A G O M I R.

Może starasz się o urząd sekretarza?

R O Ś C I C K I.

Ah panu wiadomo....

W A G O M I R.

Byłbym się założył, i masz nadzieję pozyskania go?

R O Ś C I C K I.

I to wkrótce. Oh bo ja nie lubię czekać! Wiesz zapewne, że mając zasługi. (*tajemniczo*) Dla

tego też, między nami mówiąc, nie przestanę
na tem.

W A G O M I R.

Nie?

R O Ś C I C K I.

Nie, to tylko témczasowie. Będę miał lepszy
urząd, daleko lepszy. Dowiedz się pan, że będę...
Do kata! nie wiem czy mogę mu to powiedzieć.

W A G O M I R.

Bez obawy, jestem domowy. Będziesz pan?

R O Ś C I C K I. (*z cicha*)

Asessorem prawnym.

W A G O M I R.

Co, co pan mówi?

R O Ś C I C K I,

Asessorem prawnym.

W A G O M I R. (*n. s.*)

Zagarnia moje miejsce. Otóż mamy coś no-
wego teraz.

R O Ś C I C K I.

To pana zadziwia, nieprawdaż?

W A G O M I R.

Ale czy wiadomo panu, że to miejsce nie jest
wakującym.

R O Ś C I C K I.

Wiem, wiem, zajęte przez jakiegoś Wago-
mira.

W A G O M I R.

Ah i pan mniemasz, że on pozwoli je sobie
spokojnie odebrać, i głośno się nie dopomni.

R O Ś C I C K I.

Niech się dopomina.

W A G O M I R.

Albo odejdzie, aby mu ustąpić swojego urzędu.

R O Ś C I C K I.

Odejdzie.

W A G O M I R.

Nie odejdzie.

R O Ś C I C K I.

Dajże pokój, musi odejść, rozumiesz.

W A G O M I R.

Jakto?

R O Ś C I C K I.

Lat siedmdziesiąt... kaszel...

W A G O M I R.

Mości panie...

R O Ś C I C K I.

Nie długo pociągnie.

W A G O M I R.

Mylisz się pan; owszem jeszcze nie tak prędko, nie tak prędko jak się panu zdaje; piersi zdrowe (*kaszle*) ma się dobrze. (*kaszle*)

R O Ś C I C K I. (*n. s.*)

Taki zdrow jak on, biedny człowiek!

W A G O M I R. (*n. s.*)

Aha! pragniesz mojego urzędu panie Rościcki, teraz na mnie kolej.

R O Ś C I C K I.

No i cóż pan mówisz.

W A G O M I R.

Ja mówię, że pan jesteś bardzo szczęśliwym;
i znam ludzi... ja sam na przykład...

R O Ś C I C K I.

Czy doprawdy, w istocie także jesteś supli-
kantem? Mów kochany kolego, nie wstydź się,
jeżeli ci będę mógł być użytecznym...

W A G O M I R.

Oh nie; ja mojego siostrzana chciałbym u-
mieścić; ale jego przeciwnik jest bardzo groźny:
przewyższa nas w zasługach... szczególnie ję-
dna, jest żonatym.

R O Ś C I C K I.

I pan to nazywasz zasługą?

W A G O M I R.

Bez wątpienia, jego młoda żona jest bardzo
ujmująca.

R O Ś C I C K I.

Ah! wiem, rozumiem; kobieta ujmująca.
w której się kochają.

W A G O M I R.

Właśnie to samo.

R O Ś C I C K I.

I pan Karoliński może...

W A G O M I R.

On sam, on. Jakto pan zgadujesz?

R O Ś C I C K I.

Widzisz pan, o ja znam się dobrze na tem.

Tom II.

6.

Widziałem już tyle! I powiadasz tedy, że młoda dama osobiście się o to stara? To przewybornie, Warszawa jedyna do tego.

W A G O M I R.

To prawda, że Warszawa jedyna do tego.

R O Ś C I C K I.

I pan Karoliński umieści męża.

W A G O M I R.

Bez wątpienia.

R O Ś C I C K I.

A ten mąż, jest zapewne jednym z tych głupców, co to na wszystko patrzą nic nie widząc.

W A G O M I R.

Być może. (*muzyka cicho gra.*)

R O Ś C I C K I.

Albo też jednym z tych intrygantów, co wszystko widzą nic nie mówiąc.

W A G O M I R.

Bardzo podobne.

R O Ś C I C K I.

Albo i to, i to w sobie łączy.

W A G O M I R.

Najpewniej.

R O Ś C I C K I.

Ah gdyby tu ona była!

W A G O M I R.

Jest właśnie.

R O Ś C I C K I.

Ah proszę cię, pokaż mi ją. Zapewne teraz tańczy?, z kim?

W A G O M I R.

Z protektorem.

R O Ś C I C K I.

Byłem pewny, ale gdzież jest ten głupi mąż...
zapewne go nie ma...

W A G O M I R.

On w innej sali zupełnie, spokojnie rozmawia.

R O Ś C I C K I.

Osieł kompletny, ale proszę cię, więc ona z panem Karolińskim tańczy... zobaczmy, potem pokażesz mi męża.

W A G O M I R.

Dobrze, pokażę ci męża.

R O Ś C I C K I.

Gdzież on jest ten kochany Karoliński?

W A G O M I R.

Patrz tam w końcu sali, przed kominkiem.

R O Ś C I C K I.

Widzę go, widzę, jak się przymila; a tancerka? zaraz, obróciła się, piękna figura, teraz przechodzi, staje... (*osłupiały*) Ah moja żona!

W A G O M I R.

Cóż to? cóż ci się stało?

R O Ś C I C K I.

Mnie nic, nic zupełnie. To tak widzisz pan, patrząc... zbyt mocne światło razi oczy...

W A G O M I R.

No cóż, widziałeś żonę?

R O Ś C I C K I.

Widziałem, widziałem.

W A G O M I R.

Teraz panu męża ^{tu} pokażę, tego głupca...

R O Ś C I C K I.

Bardzo dziękuję, nie ciekawym (*n. s.*) moja żona, może to być! (*muzyka ustaje*)

SCENA XII.

CIŻ SAMI, KAROLIŃSKI, ADELA, AUGUST,

ŻERAŃSKA, GOŚCIE,

K A R O L I Ń S K I,

Teraz wszystkie drzwi pootwierać.

ADELA. (*przybiegając do męża*)

Ah mój przyjacielu! co za rokosz! to czarownie! ja głowę tracę!

R O Ś C I C K I. (*surowo*)

Co mówisz mościa pani?

K A R O L I Ń S K I.

No, mości Rościcki, interes skończony, otrzymasz urząd, mówiłem z moim stryjem, jest właśnie tutaj.

R O Ś C I C K I.

Panie... prawdziwie (*n. s.*) On chciałby...

A U G U S T.

Kochany Rościcki, będziesz miał do wygotowania raport, powierzają ci go, a ja jutro cię odwiedzę.

R O Ś C I C K I.

Oh ty mój przyjacielu, to co innego, kiedy tylko będziesz chciał. (*do Adeli*) Jedźmy, moja najmiłsza.

A D E L A.

Jakto, już? (*muzyka aż do końca aktu.*)

Z E R A Ń S K A.

Panowie na miejsca, do mazura.

KAROLIŃSKI. (*podając rękę Adeli*)

Służę pani...

R O Ś C I C K I.

Pozwól moja żono...

K A R O L I Ń S K I.

Ah chcesz tańczyć, kochany Rościcki, wyśmienicie, podaj mojej siostrze rękę.

R O Ś C I C K I.

Jakto więc?... z ochotą. (*n. s.*) Niech cię djabli porwą. (*podając rękę Zerańskiej*) Pani, bądźże miał ten zaszczyt? (*n. s.*) Nic nie szkodzi, stanę naprzeciw nich, zobaczemy, czy się ośmieli w przytomności męża.

(*Stają w koło i tańczą mazurka, Rościcki z zazdrością, odbija zawsze Adelę p. Karolińskiemu.*)

WAGOMIR. (*zażywając tabakę na przodzie sceny*)

Mnie się zdaje, że ja spokojniej od niego spać będę.

AKT III.

(Pokój w mieszkaniu Rościckiego, drzwi w środku, gabinet po lewój, stół po prawej stronie, a na nim to wszystko, co potrzebne do pisanja.)

SCENA I.

ADELA. *(sama, wchodzi zwolna, zatrzymuje się w głębi i patrzy po za drzwi boczne)*

Mój mąż jeszcze pisze, całą noc pisał, a jednakże wczoraj wynowił się od raportu. Zdawał się być smutnym, stroskanym, miałaby dostrzedz zabiegi Augusta, miłość?... oh nie! ci biedni mężowie nic nie dostrzegają. Jednakże zabroniłam Augustowi przyjść tutaj: uczyniłam to dla spokojności mojego męża, dla mojej własnej. Czuję, że mi był jeszcze drogi, że go nie zapomniałam, ale nie chcę go więcej widzieć, nie będę go widziała...

SCENA II.

ABELA, ROŚCICKI. *(wchodzi nie widząc żony postępuje naprzód pogrążony w myślach)*

Otóż moja praca prawie ukończona, i to nie bez przyczyny; gdyż te śmiechu godne poufa-

nia tego starego jegomości nieznanego mi w ca-
le... bo proszę, czy to mężom mówią się podo-
bne rzeczy?

ADELA. (*zbliżyła się i bierze go za rękę*)

Dzień dobry, mój przyjacielu...

ROŚCICKI, (*spoglądając na nią*)

Ah to ty! dzień dobry Adelo, dzień dobry.
(*oddalając się nieca, n. s*) Nie wiem dla czego,
ale kiedy jestem przy niej, moje podejrzenia
zdają się niknąć; może to być, że jej się sta-
rają przypodobać: ale ja pewny jestem...

A D E L A.

Cóż to mój mężu, mówisz sam do siebie!

R O Ś C I C K I.

Nic to moja najmiłsza, nic.

A D E L A.

Kiedy tak, to powiedz mi dla czego masz tak
groźną minę od wczoraj, kiedyś mi w chwili
najprzyjemniejszej kazał bał opuścić. Ale wy
mężczyzni, jak nabijecie sobie głowę tą chęcią
wyniesienia się, już na nic nie zważacie, nawet
na kontredanse żon, a wtedy właśnie była galo-
pada, taniec zajmujący.

R O Ś C I C K I.

Tak, tak, zajmujący wszystkich, wyjąwszy

mężów, gorszy od walca... prócz tego robota, którą mi polecono wykonać.

A D E L A.

Ah jeżeli ta przyczyna, już ani słowa; od tego rapportu zawisła twoja nominacja, a ja tak chętnie chciałabym zostać w Warszawie.

R O Ś C I C K I.

To rzecz dziwna! ty co Warszawy cierpieć nie mogłaś, pragnąc całe życie nie opuszczać Końskich.

A D E L A.

Mówiłam to w istocie, ponieważ dobra żona powinna mieć sobie za obowiązek umieć nudzić się wszędzie ze swoim mężem... a w Końskich można dopełniać tej nauki, ale kiedy można być z mężem i nie nudzić się...

R O Ś C I C K I.

To pięćdziesiąt na sto zysku.

A D E L A.

Widzisz. A ponieważ pan Karoliński przyrzeka nam swoją protekcję...

ROŚCICKI. (*zbliżając się do niej i uważając ją pilnie*)

P. Karoliński... zdaje mi się, że on nam bardzo sprzyja...

A D E L A.

Ah mój mężu, o tem nawet wątpić nie można.

R O Ś C I C K I.

Czy tak? a ja wątpię.

A D E L A.

Wyobraź sobie, naprzód cały wieczor ze mną
tylko tańczył.

R O Ś C I C K I.

Doprawdy?

A D E L A.

Tak tak, do tego stopnia, że mi kobiety zazdrościły. Cóż mówisz na to, zabawnie, nieprawdaz?

R O Ś C I C K I.

O tak, bardzo zabawnie, szczególnież dla mnie; a czy nie możnaby wiedzieć co on mówił do ciebie? młody człowiek, tak ugrzeczniony, tak uprzejmy, musiał ci zapewne dosyć komplementów nagadać.

A D E L A.

Cóż więcej nad to.

R O Ś C I C K I,

Ah! może oświadczył się?

A D E L A.

Coś więcej.

R O Ś C I C K I.

Jakto jeszcze eoś więcej (n. s.) drzę cały!

A D E L A.

Bezwątpienia! chwalił cię przedemną.

R O Ś C I C K I.

Mnie chwalił!

A D E L A.

Ale to do najwyższego stopnia, domyślasz się

że musiałam też samo mówić co on, bo żona powinna zawsze chwalić swego męża publicznie, chociaż mu prawdę powie sam na sam.

R O Ś C I C K I.

Co za dobroć! a więc mówił ci...

A D E L A.

Żeś jest urzędnikiem pracowitym...

R O Ś C I C K I.

To prawda.

A D E L A.

Gorliwym, pilnym...

R O Ś C I C K I.

Ma słuszość.

A D E L A.

Że poznał w tobie zdolności nader znakomite.

R O Ś C I C K I.

Jako, on poznał!... (n. s.) Ej, już cię to nie ma nic złego, choćby jej w tańcu o tem mówił.

A D E L A.

Mocno jest tem zmartwiony, że ci tylko miejsce sekretarza w tym czasie ofiarować może.

ROŚCICKI. (zapominając się)

Nic nie szkodzi, przyjmę, oczekując lepszego.

A D E L A.

Ale spodziewa się, iż zdoła powiększyć ci płacę.

R O Ś C I C K I.

To, to, najpotrzebniejsze; płaca jest częścią najmoralniejszą administracji.

A D E L A.

A potem, w tymże samym domu, mieszkanie piękne, dogodne i bezpłatne...

R O Ś C I C K I.

Boże! mieszkać nie płacąc, to tak jakbym był właścicielem a nawet lepiej, bo podatków opłacać nie będę jak oni czynią, często nawet od swego własnego mieszkania.

A D E L A.

Pomieszkanie nad samém biurem.

R O Ś C I C K I.

A to bardzo wygodnie, kiedy się mieszka tak blisko, można być starannie niedbałym.

A D E L A.

Bynajmniej, mości panie, nie trzeba żartować, należy być gorliwym, pan Karoliński także mieszkać tam będzie.

R O Ś C I C K I. *(przypominając sobie)*

Pan Karoliński, ah prawda, zapomniałem...

A D E L A.

W tymże samym domu, na témże piętrze.

R O Ś C I C K I.

Aha rozumiem. *(n. s.)* Może jeszcze i te same drzwi. Szkoda, wszystko dotychczas było tak pięknie, ale to mieszkanie, to coś nienajlepszem pachnie.

A D E L A.

Cóż ci to mój męzu? takeś się zaczerwienił?

R O Ś C I C K I.

Ja! zaczerwieniłem się, być może. Moja żona uściskaj mię.

A D E L A.

Cóż to ma znaczyć?

R O Ś C I C K I.

Proszę cię dla zaspokojenia mię. (*ściska ją.*)

SCENA III.

AUGUST, ADELA, ROŚCICKI.

AUGUST. (*w głębi*)

A przepraszam, przeszkodziłem.

ADELA. (*n. s.*)

August! pomimo mego zakazu...

R O Ś C I C K I.

Ah to kochany August, mój przyjaciel. dotrzymuje słowa.

A U G U S T.

Nie zapomniałem o przyrzeczeniu.

A D E L A.

O przyrzeczeniu?... Mniemałam, że pan nie powinienes być przyjść...

A U G U S T.

Pani...

R O Ś C I C K I.

Przeciwnie moja najmiłsza, oczekiwałem pana Augusta, przyrzekł zająć się łaskawie moim raportem.

A D E L A.

A pan jest tyle grzecznym... to co innego.

Ponieważ mój mężu masz z tym panem mówić o interessach, a pan zapewne bardzo krótko zabawi tutaj, nie chciałabym więc moją obecnością opóźniać zatrudnienia, i proszę cię, pozwól mi odejść do mego pokoju. (*klania się i wychodzi śródkowemi drzwiami.*)

SCENA IV.

AUGUST, RÓŚCICKI.

AUGUST. (*n. s.*)

Odprawa bardzo zręcznie dana.

R O Ś C I C K I.

Przepraszam cię za moją żonę, kochany Augustcie, ona nie zna zwyczajów...

A U G U S T.

To mniejsza, przychodzę tu tylko dla ciebie; więc mówmy o twoim raporcie, o twoim urzędzie, bo podług wszelkiego podobieństwa już go masz.

R O Ś C I C K I. (*z radością*)

Co, doprawdy? tak sądzisz... (*przypominając sobie*) Ale mówiąc między nami, nie wiem, czy mam cieszyć się z tego... bo widzisz... to nie bardzo bezpiecznie.

A U G U S T.

Cóż takiego?

R O Ś C I C K I.

Słuchaj kochany Augustcie, ty jesteś moim
Tom II.

przyjacielem, moim prawdziwym przyjacielem, mogę ci więc wszystko z ufnością wyjawić.

AUGUST.

Bezwątpienia.

ROŚCICKI. (*tajemniczo*)

Mój przyjacielu, moja żona młoda, ładna, moja żona... nie można to zawsze nazywać zaraz nieszczęściem; ale wiem, że się starają jej przypodobać.

AUGUST. (*n. s.*)

Oh Boże!

ROŚCICKI. (*zawsze tajemniczo*)

Nadskakują jej... nie uważałeś wczoraj na balu?

AUGUST. (*zmieszany*)

Ja... nie sądzę...

ROŚCICKI.

Nie widziałeś, jak pan Karoliński?...

AUGUST. (*żywo*)

Karoliński! (*n. s.*) oddycham! (*głośno*) Wistocie, zdało mi się widzieć...

ROŚCICKI.

I mnie to samo, a kiedy pan szef pierwszego dnia tak zaczyna ..

AUGUST.

Czy myślisz, że twoja żona dostrzegła to?

R O Ś C I C K I.

Mój bracie, żony zawsze takie rzeczy dostrzegają, nawet prędzej od mężów.

AUGUST. (*z obawą*)

Ale przynajmniej nie obawiasz się z jej strony?... Jej przywiązanie, cnota...

R O Ś C I C K I.

W istocie... nieczego się nie obawiam... ah mój Boże!... moja żona!... Ale to wszystko jedno, zawsze zupełnie spokojny nie jestem. Pan Karoliński zdaje się bardzo przyjemnym, ma dowcip, wiele nawet dowcipu, grzeczności z jego strony... a pojmujesz, że dla kobiety nieprzyzwyczajonej do tego, są to zalety, na które bez trwogi spoglądać nie można... szczególnież mąż, który lęka się zawsze ze swego powołania... tem bardziej, że pan szef dosyć śmiały... przedsiębiorczy... rozumiesz mnie?...

A U G U S T.

O bardzo śmiały. (*n. s.*) Czyby w istocie to oziębłe przyjęcie, ta odprawa, były skutkiem... nie, to niepodobna.

R O Ś C I C K I.

Teraz sądz o mojej obawie; postaw się na mojem miejscu.

A U G U S T.

Ja też właśnie to czynię... Powiedzże mi, cóż

mówi twoja żona? Czy dostrzegłeś w niej co takiego, co by stwierdzało twoje podejrzenia?

R O Ś C I C K I.

Dostrzegłem, że od wczoraj zmieniła zdanie.

A U G U S T.

Doprawdy?

R O Ś C I C K I.

Chciała koniecznie wyjechać z Warszawy, a teraz...

AUGUST. (z żywością)

Chce tu zostać? (n. s.) Co za szczęście!

R O Ś C I C K I.

Nakoniec od wczoraj poznać jej nie mogę... ten bał, ta okazałość, głowę jej zawróciły.

AUGUST. (n. s.)

O droga Adelo!

R O Ś C I C K I.

O to nie dla tego, abym się lękał pana Karolińskiego...

A U G U S T.

Bardzo sprawiedliwie. (n. s.) Teraz pewny jestem, że nie jego kocha.

R O Ś C I C K I.

Jednakże poznajesz niebezpieczeństwo. (sposstrzegając Wągomira) Otóż mój gaduła wczorajszy.

SCENA V.

CIŻ I WAGOMIR.

W A G O M I R.

Po tysiąc kroków przepraszam pana, przychodzę... Co widzę? pan August...

A U G U S T.

Ah, to Wagomir!

R O Ś C I C K I.

Wagomir, za pozwoleniem... assessor prawny?

W A G O M I R.

Ja sam; ale nie przychodzę tu jako nieprzyjaciół, przeciwnie, pomimo naszej rozmowy na balu, niebardzo dla mnie przyjemnej...

R O Ś C I C K I,

I dla mnie też samo!

W A G O M I R.

Chcieć mi zdmuchnąć urząd!

R O Ś C I C K I.

Sądzić, że moja żona...

W A G O M I R.

Wiem, że to pańska żona była, ale cóż tu dziwnego? wszyscyśmy śmiertelni.

R O Ś C I C K I.

Co? śmiertelni... to się ma rozumieć... (*do Augusta*) Cóż on żartuje sobie ze mnie?

A U G U S T.

W samą rzecz panie Wagomirze, o cóż idzie?

W A G O M I R.

O rzecz bardzo prostą; mój siostrzan konie-

cznie musi otrzymać urząd, a ponieważ dopiero po panu Rościckim może być umieszczonym, przeto chciałbym wiedzieć, czy pan zatrzymuje urząd w Końskich czy przyjmuje miejsce w Warszawie.

R O Ś C I C K I.

Oba zatrzymuję.

W A G O M I R.

Za pozwoleniem, przecież nie zechcesz pan ich połączyć...

R O Ś C I C K I.

Dla czegoż to?

W A G O M I R.

Nie wolno. Czy pan zostajesz w Warszawie?

A U G U S T.

Tak jest.

R O Ś C I C K I.

Tak jest.

W A G O M I R.

Wracasz do Końskich?

A U G U S T.

Naprzykład?

R O Ś C I C K I.

Naprzykład?

W A G O M I R.

A więc starać się będę o inspektorstwo, pan zostanie sekretarzem pana Karolińskiego w jego domu.

R O Ś C I C K I.

Zwolna, ja tego nie mówię.

W A G O M I R.

A więc pan siadasz do dylizansu, a mój siostrzan przechodzi na sekretarza.

R O Ś C I C K I.

Ale nie, do kroćset czartów! Proszę powiedzieć mi, czy godzi się w ten sposób stawiać uczciwego i tkliwego urzędnika między żoną, którą kocha zapamiętałe, i urzędem, który niemało szacuje.

W A G O M I R.

Nakoniec mów pan, jakiż jest ostatni jego zamiar?

R O Ś C I C K I.

Ostatni zamiar, ostatni zamiar! Wacpan sądzisz, że to tak łatwo ostatecznie się zdecydować, po wczorajszem twojem powierzeniu.

A U G U S T.

Jakto, to pan Wagomir mu to powiedział?... Aha, domyślam się co to znaczy: żart, podejście i nie więcej.

W A G O M I R.

Co, co mówisz Auguste?

R O Ś C I C K I.

Miałoby to być prawdą?

A U G U S T.

Ale tak jest, bezwątpienia, aby cię przestraszyć, oddalić, a potem otrzymać nominacją sekretarza dla siostrzana; ale nie będzie nic z tego, pan Rościcki nie odjedzie.

R O Ś C I C K I.

Tak, tak, nie odjadę. Aha! chciałeś zażartować ze mnie! postąpić ze mną jak z nadliczbowym! na szczęście, nie jestem nim!

W A G O M I R.

A więc przyjmujesz?

A U G U S T.

To wszystko zależy od raportu poruczonego panu Rościckiemu.

R O Ś C I C K I.

Już ukończony, przyniosę go. (*wracając do Wagomira*) Tak mości panie, tak, przyjmuję, chociażby tylko dla tego, aby wacpanu na złość zrobić, mości żartownisiu!

W A G O M I R.

Co wacpan mówisz?...

A U G U S T.

Panie Rościcki!... panowie...

R O Ś C I C K I.

Nic nie szkodzi, ja się nie gniewam wcale, między suplikantami to są zwykłe podstępny... dawniej to samo czyniłem, ale ten był dosyć zręczny...

W A G O M I R,

Nieprawdaż?

R O Ś C I C K I. (*do Augusta*)

Powracam za chwilę z moim raportem, (*do-*

Wagomira) i będę miał urząd; (*do Augusta*)
wmówić we mnie, aby mnie odsadzić, że moja
żona... To śmiesznie, bardzo śmiesznie. (*wcho-
dzi do gabinetu, śmieje się*)

WAGOMIR. (*śmiejąc się*)

Biedak! żal mi go!

SCENA VI.

AUGUST, WAGOMIR.

AUGUST. (*n. s.*)

Korzystajmy ze sposobnej chwili. Jeżeli mi
nie pozwoliła widzieć się z sobą, pisać nie za-
kazała. (*siada i pisze.*)

W A G O M I R.

Panie Auguste, Rościcki będzie ci bardzo o-
bowiązany; z łaski twojej jako mężuło zupeł-
nie zaspokojony.

A U G U S T.

To ci nienajprzyjemniej kochany Wago-
mirze.

W A G O M I R.

Mnie? to mi wszystko jedno. Aby tylko mój
siostrzan otrzymał urząd, a czy w Warszawie,
czy w Końskich, mało mię obchodzi; ale tak,
między nami mówiąc, wiesz dobrze jak rzeczy
idą, i ja także.

A U G U S T.

Jakto? ja wiem...

W A G O M I R.

Do kata! wiesz przecię, że Karoliński zakochał się.

A U G U S T.

Ah tak jak zwykle, na kilka dni.

W A G O M I R.

Bynajmniej, na prawdę zakochany.

A U G U S T.

Tém gorzej dla niego; bo pewny jestem, że pani Rościcka...

W A G O M I R.

Pani Rościcka... tak jak wszystkie inne...

A U G U S T.

Przestań! onby się jęj miał podobać?

W A G O M I R.

To się już stało.

A D E L A.

Co? co?

W A G O M I R.

Już jest kochany, wiem z pewnością.

AUGUST. (*wstając*)

Jakto, wiesz z pewnością...

W A G O M I R.

Ale tak; tylko co z nim rozmawiałem. Niepodobna z nim rozsądnie pomówić, szczęście mu głowę zawróciło.

A U G U S T.

Czy tak w istocie?

W A G O M I R.

Nawet w tej chwili, miało być tutaj rendez-vous.

AUGUST.

Rendez-vous?

WAGOMIR.

Przynajmniej dał mi do zrozumienia, że go
przyjmą w nieobecności męża.

AUGUST.

Mogłoby to być?

WAGOMIR.

Poświęcać nas swojej miłości!

AUGUST.

To jest niegodziwość! -

WAGOMIR.

Nie, to nie jest niegodziwość... lecz niespra-
wiedliwość, i ja muszę zapobiedz temu.

AUGUST.

Ale, Adela, Adela!... zdradzać przysięgi, ko-
chać innego! Jednak dzięki niebu, jesteśmy tu
oba, ty ostrzeżesz pana Rościckiego, a ja mu
doradzę...

WAGOMIR.

Czyń co chcesz, ja umyvam ręce od tego.
Wczoraj przestraszyłem go, powodowany miło-
ścią bliźniego, sprawą moralności... i mojego
siostrzeńca; dzisiaj, niech się co chce dzieje, to
już nie moja rzecz; jeden mniej, jeden więcej
mąż, to mię nie nie obchodzi! Teraz działaj
jak ci się spodoba; uwiadom go, nie uwiadamiaj
go; co do mnie, idę uprzedzić stryja pana Ka-

rolńskiego, niech moralność i mąż jak będą mogli wydzwigną się z toni. (*wychodzi zwolna*)

AUGUST. (*sam*)

Co za samolubstwo! siebie tylko widzi, tylko swój interes osobisty. Ah! Karoliński przyjdzie na rendez-vous; ale i ja tu będę. Ten poczciwy Rościcki... gdybym mógł jakim sposobem ten list oddać jego zonie...

SCENA VII.

ROŚCICKI (*wychodząc z gabinetu*). AUGUST.

R O Ś C I C K I.

Mój przyjacielu, oto jest raport, ukończony zupełnie. Ah, gdybyś wiedział, jak jestem szczęśliwy od chwili, kiedy sobie stale postanowił. Daruj mi, że ci go sam nie czytam; ale nie mam czasu... odebrałem list od pana Karolińskiego.

A U G U S T.

List, względem czego?

R O Ś C I C K I.

Wzywa mię natychmiast do swojego biura.

AUGUST. (*n. s.*)

Tak, a przez ten czas...

R O Ś C I C K I.

Co mówisz?

AUGUST.

Nie, mój kochany Róścicki, nie, (*n. s.*) biedny człowiek, nie wiem jak mu powiedzieć.

ROŚCICKI.

Cóż to jest? zdajesz mi się być zmieszany!

AUGUST.

Mój przyjacielu!..., trzeba mieć nieco filozoficzne myśli.

ROŚCICKI. (*drżąc*)

Tam do kata! może znowu co nowego?

AUGUST.

Może.

ROŚCICKI.

Odkryłeś co?

AUGUST.

Nie zupełnie. Ale gdybyśmy byli w błędzie? gdyby w istocie Karoliński...

ROŚCICKI,

Eh dajże pokój; to był żart Wagomira.

AUGUST.

Ale gdyby też to nie był żart.

ROŚCICKI.

Jakto?

AUGUST.

Gdyby właśnie w tej chwili, Karoliński wyszukiwał sposobności widzenia się z twoją żoną, gdyby to przywołanie cię do siebie, było tylko pozorem do wydalenia cię z domu.

ROŚCICKI. (*biorąc go za rękę*)

Dosyc, dosyc mój przyjacielu; pocziwy mło-

Tom II.

S.

dzian! jak drży cały; więcej odemnie się obawia. Dziękuję ci za troskliwość twoją względem tego wszystkiego co do mnie należy. Radzisz mi więc odrzucić?

AUGUST.

Radzę ci widzieć się z Ade... (*przypominając sobie*) z twoją żoną, wybadać ją jak można najzręczniejsz... a potem co ci powie, albo co odgadniesz, uczynisz stałe postanowienie. Jeżeli Karoliński jej się podoba, co byłoby złém nie małém...

ROŚCICKI.

To byłoby okropnie!

AUGUST.

Natenczas radzę ci szczerze, powracaj z nią do Końskich jak najprędzej, bo urząd w Warszawie, i żona, zgodzićby się z sobą nie mogły.

ROŚCICKI.

Ileż cierpień byłoby, nieprawdaż?

AUGUST.

Komuż to mówisz mój Rościcki?... W przeciwnym przypadku, jeżelibyśmy się niczego nie mieli obawiać ze strony p. Karolińskiego, zostaniesz.

ROŚCICKI.

Tego ja też chcę, ale tu zachodzi mała trudność, ta jest, że ja się nieośmielę nigdy mó-

wieć o tem do mojej żony, bo widzisz... ona jest bardzo łagodną, w istocie, jednakże jak się rozgniewa, no, to już...

AUGUST.

Dalej odważnie! Tymczasem przejrze twój raport.

ROŚCICKI.

To dobrze, ale przejdź do mego gabinetu; lubo drzwi z niego prowadzą do pokoju mojej żony...

AUGUST. (*n. s.*)

Aha są drzwi...

ROŚCICKI.

Ale to nic nie szkodzi, zawsze tam jest spokojniej. Natychmiast przyjdę do ciebie po rozmowie z moją żoną.

AUGUST. *odchodzi i wraca podając rękę p. Rościckiemu*).

Żegnam cię mój przyjacielu.

ROŚCICKI.

Do widzenia mój kochany, mój prawdziwy przyjacielu!

AUGUST. (*n. s.*)

Starajmy się ten list wręczyć jego żonie. (*wchodzi do gabinetu.*)

SCENA VIII.

ROŚCICKI. (*sam*)

Do widzenia zacny, nieoszacowany człowieku!
Ah co za przyjaciela w nim znalazłem!... to nie

tak jak pan Karoliński: pan Karoliński! co za domiar zgorszenia! protegować mię aby... Są jednakże mężowie coby niezważali na to, przyjęli urząd, cisnęli się wyżej... ale dzięki Bogu ja nie jestem z tych ludzi, kocham honor więcej niż znaczenie. (*smutnie*) Ah tak, kocham go; i drogo to opłacam; ale mniejsza... dobre domowe pożyacie jest tak słodkiem, kochać swoją żonę... sam tylko i być od niej wzajemnie kochanym; to jest prawdziwem szczęściem; i tak do niego przywykamy, że już nie pragniemy innego... Jednakże urząd, ah, czuję, żebym daleko lepiej był uczynił, gdybym się był nie ożenił.

SCENA IX.

ROŚCICKI, ADELA.

ADELA. (*wchodzi z listem wręku*)

List! ośmielił się pisać do mnie! narażać mnie na wstyd (*spostrzegłszy męża chowa list*) Ah!

ROŚCICKI. (*n. s.*)

Tam do licha! moja żona! nie wiem dalibóg jak naprowadzić rozmowę.

ADELA. (*n. s.*)

Drzę cała! Jak mu powiedzieć.

ROŚCICKI. (*n. s.*)

Eh, niech się co chce dzieje! odważę się...

A D E L A.

Ach to ty mój mężu! myślałam żeś pojechał.

R O Ś C I C K I.

Nio, nie zostaję i właśnie... (*n. s.*) Ah mój Boże to kłopot niemały!.

ADELA. (*n. s.*)

Jego twarz! miałaby wiedzieć?...

R O Ś C I C K I.

Cóż to ci moja Adelo, zdajesz mi się być wzruszoną, niespokojną.

A D E L A.

Ja!

R O Ś C I C K I.

Tak ty, i nie od dzisiaj dopiero to uważam. Wczorajszy bal jeszcze cię zajmuje, bardzo naturalnie; ta okazłość, te tańce, tancerze szczególnie.

ADELA. (*spoglądając na niego*)
Tancerze?...

ROŚCICKI. (*mówiąc bez przerwy*)

Pan Karoliński. (*n. s.*) Jest wzruszoną. (*głośno*) Byli tak grzeczni, tak uprzejmi, tak ci nadskakiwali, nie uważałaś?..

A D E L A.

Mój mężu, zazdrość przez ciebie mówi.

R O Ś C I C K I.

Ja zazdrośny, ah mój Boże! a więc tak, to prawda, jestem nim cokolwiek.

A D E L A.

Ah mości panie, to bardzo źle.

R O Ś C I C K I.

Jakże chcesz moja najmilsza, te zabiegi tego pana przy tobie.

A D E L A.

Tego pana...

R O Ś C I C K I.

On cię kocha może? powiedział...

A D E L A.

Ale...

R O Ś C I C K I.

Jak pomieszana! przekonywasz się sama, że mię błąd nie uwodzi, i że niebezpieczeństwo...

A D E L A.

Niebezpieczeństwo. Posłuchaj mię, kochasz twoją żonę, ufasz jej?

R O Ś C I C K I.

To jest, tak... ufam... o... nie ma wątpliwości.

A D E L A.

To sprawiedliwie. Bo mieć w podejrzeniu żonę, to nie bardzo dobrze, tym sposobem otwiera się droga nieszczęściu... Uczyń lepiej, zdaj się na nią zupełnie, jej samąj powierz staranie o twoją spokojność, o twój honor; a jeżeliby kiedykolwiek bądź, jak mówiłeś przed chwilą, zagrażało niebezpieczeństwo, nie zawiedziesz się na jej cnocie, na szczerości...

R O Ś C I C K I.

Jako! powiedziałaś mi...

A D E L A.

'Tak jest powiedziałabym ci:« mężu! wracajmy do Końskich.»

R O Ś C I C K I.

To wszystko.

A D E L A.

Wszystko? ale to wtenczasz gdyby mój honor i twoje dobre imie wymagały tego. Szczęściem nie zaszliśmy jeszcze tak daleko.

R O Ś C I C K I.

Czy doprawdy? jednakże twoje pomieszanie wczoraj... dziś rano... w tej chwili nawet?

A D E L A.

To być może, nie przeczę że w pierwszej chwili, byłam nieco wzruszoną, ale to naturalnie.

R O Ś C I C K I.

Jak, co? naturalnie?

A D E L A.

Tak mój kochany, muszę ci wyznać i wyznam, jakkolwiek to przykro jest dla mnie; tak, ponieważ dociekleś tajemnicy tego pana, nie wiem jakim sposobem, ale mało mię to obchodzi, moja ufność twojej zawezwie ufności... (*ścisząc głos*) dowiedz się, że nie pierwszy raz widzę go w tem miejscu...

R O Ś C I C K I.

Nie pierwszy raz! (*n. s.*) ah zimny pot mię oblewa!

ADELA. (*tym samym głosem*)

Znałam go przed mojem za mąż pójściem,
bywał u mnie.

ROŚCICKI. (*z żywością*)
Jako mościa pani?

A D E L A.

Nie byłeś moim mężem. Mogłam go wtenczas
słuchać, mógł mi powiedzieć, że mnie kocha.

R O Ś C I C K I.

Nic sprawiedliwszego, jeżeli to było pierwej,
ale potem nie mówił ci ani słowa?

A D E L A.

Przeciwnie; wczoraj w wieczór na balu...

R O Ś C I C K I.

Może się oświadczył pani Rościckiej...

A D E L A.

Bądź spokojny.

R O Ś C I C K I.

Nie chcę nim być.

A D E L A.

Czy już zapominasz o naszych układach? Gdy-
by było niebezpieczeństwo...

R O Ś C I C K I.

Jest mościa pani.

A D E L A.

Przeciwnie, żadnego nie widzę.

ROŚCICKI. (*n. s.*)

Prawda, że dla żon to niema żadnego.

A D E L A.

Zabroniłam mówić mu o jego miłości.

R O Ś C I C K I.

Bah! to zwykły początek!

A D E L A.

Powiedziałam mu: że gdyby się odważył
przyjść do mnie, wyjawię ci wszystko.

R O Ś C I C K I.

Prawdaż to?

A D E L A.

Wątpisz jeszcze? oto masz list, który w tej
chwili doszedł rąk moich; nie otwierając go nie-
słam do ciebie... Czy wierzysz mi teraz?

R O Ś C I C K I.

List! dawaj. Ah kochana żono błagam cię prze-
bac! List, już nie ma wątpliwości: (*chce otwo-
rzyć*)

ADELA. (*zatrzymując go*)

Nie, trzeba go oddać nieodpieczętowany; ale
ty go sam oddać musisz, bez gniewu, z wzgardą,
to go przedświadczy, że nic zmieszać nie może na-
szego szczęścia; (*z łzami*) bo my jesteśmy szczę-
śliwi, nieprawdaż!

R O Ś C I C K I.

Jesteśmy szczęśliwi! ja tak myślę... Tak je-
stem rozgniewany...

A D E L A.

Ale już nie zazdrosny! Ah, ktoś nadchodzi...
cicho!

R O Ś C I C K I.

Pan Karoliński (*n. s.*) w sam czas, oh!...

SCENA X.

CIŻ I KAROLIŃSKI.

KAROLIŃSKI.

Pani, na koniec mogę... (n. s.) Nieba! mąż!

ROŚCICKI. (n. s.)

Aha! nie może! zobaczymy.

KAROLIŃSKI.

Kochany Rościcki, mocno mię cieszy, że cię tu znajduję.

ROŚCICKI. (n. s.)

Bardziejby go cieszyło, gdyby mię nie zastał...

KAROLIŃSKI.

Sądziłem...

ROŚCICKI.

Rozumiem, pan sądziłeś, że już jestem w biórze; i dla tego przyszedłeś mię szukać w mojem mieszkaniu.

ADELA.

Cóż to jest?

KAROLIŃSKI.

Daruj mi, ale nie pojmuje cię. Zdawało mi się, że przychodząc ci donieść o pomyślnym skutku moich starań... otrzymałem bowiem nominacją dla ciebie mój kochany Rościcki.

ROŚCICKI. (z żywością)

Co słyszę! mam nominacją. (przypominając sobie) Ale, to mi wszystko jedno, nie przyjmuję urzędu.

A D E L A.

Co mówisz?

K A R O L I Ń S K I.

Co za myśl!

ROŚCICKI. (*z mocą*)

Nie mościpanie, nie przyjmuję, nie chcę nie mieć od niego, nie! rozumiesz mię pan!

SCENA XI.

AUGUST, ADELA, ROŚCICKI, KAROLIŃSKI.

ADELA. (*przestraszona*)

August! (*do męża*) Ah mój mężu! przez litość...

K A R O L I Ń S K I.

Niech mię kaci porwą, jeżeli wiem o co idzie!

ROŚCICKI. (*do żony*)

Proszę cię, widzisz jestem spokojny (*do Augusta*) Pójdź, mój kochany Auguście; pójdź, ty możesz o wszystkim wiedzieć. Moje podejrzenia nie były bezzasadne; tak z trudnością im wierzyłem; ale są ludzie co tylko dla tego protegują mężów, aby im opłacili drogo ich usługi.

K A R O L I Ń S K I.

Mościpanie...

R O Ś C I C K I.

Którzy nie przestając na usilnych zabiegach, w pozyskaniu miłości żony mniemanego swego przyjaciela, jeszcze odważają się pisać do niej.

AUGUST. (*przełękły*)
Co słyszę?

ADELA. (*przestraszona*)
Mój mężu!

KAROLIŃSKI. (*n. s.*)
No, już teraz to nic nie rozumiem.

R O Ś C I C K I.
Szczęściem są kobiety, które się szanować umieją, kochające swoje obowiązki i swych mężów; a co do biletów im przesyłanych... Mościpanie, patrz co czynią z niemi. (*oddaje Karolińskiemu*)

ADELA I AUGUST
O nieba!

KAROLIŃSKI. (*biorąc list*)
Ten list...

ROŚCICKI. (*do żony*)
Nie gniewam się na ciebie. (*do Karolińskiego*)
Mościpanie to od mojej żony, ona mi go oddała.

AUGUST.
Adela!

ADELA.
Ale upewniam cię...

KAROLIŃSKI. (*otwierając list*)
Co widzę! (*zamyka go natychmiast.*)

ADELA.
Wstrzymaj się, nie zniosłabym nigdy...

KAROLIŃSKI. (*przychodząc do niej*)
Przebacz pani, zaczynam pojmować! tak te-

raz rozumiem; zaufałem zbyt mocno, być może!
ale nie doznałem tego wzajemnie; może tym spo-
sobem ochroniono mię od nadziei cierpień. Prze-
baczenie mi wszyscy mimochętne zamieszanie,
którego sprawcą się stałem, jestem nieszcześli-
wym, widzę to, i tylko oddalenie mi pozostaje.
Ale najgłębsze milczenie będzie ostatnim dowo-
dem przywiązania... przyjaźni, którego doznasz
pani odemnie. (*chce odejść*)

R O Ś C I C K I.

Tem lepiej.

SCENA XII.

AUGUST, WAGOMIR, KAROLIŃSKI, ADELA,
R O Ś C I C K I.

W A G O M I R.

Czy być może!... Pan Karoliński tutaj?

R O Ś C I C K I.

- Jeszcze ten jegomość z kaszlem.

K A R O L I Ń S K I.

Wagomir!

WAGOMIR. (*wchodząc*)

Tak, pan Karoliński, pan August i ja; wydaje
się jakbyście mieli jaką naradę. (*do Karoliń-
skiego*) Proszę, mam polecenie od Inspektora.

K A R O L I Ń S K I.

Mojego stryja!...

Tem II.

9.

W A G O M I R.

Donieść wam nienajprzyjemniejszą dla wszystkich wiadomość, wyjąwszy dla mnie, który zostaje przy dawnym, i dla pana Augusta, który dzisiaj zajmie miejsce pana Karolińskiego jako szef wydziału.

A U G U S T.

Ja!

K A R O L I Ń S K I.

Co przez to rozumiesz?

W A G O M I R.

Pan Karoliński ma inne przeznaczenie, o czém z ust stryja dowie się niebawnie; to tylko wiem z pewnością, że w kilka dni pożegna się z Warszawą.

R O Ś C I C K I.

Co, on opuszcza Warszawę, i ty kochany Auguście będziesz na jego miejscu?

A D E L A.

Nieba!

A U G U S T.

Ja! *(do Karolińskiego)* Ah przyjacielu. jakże mi bolesno!...

KAROLIŃSKI. *(przechodząc do Augusta)*

Co zaś? winszuję ci mój przyjacielu; *(cicho)* wszystkie pomyślności od razu.

R O Ś C I C K I.

To w lepszą porę zdarzyć się nie mogło.

WAGOMIR. *(do Karolińskiego)*

Wiem, że się to panu nie bardzo podoba.

KAROLIŃSKI. (*z wzruszeniem*)

Przeciwnie; idę natychmiast podziękować mojemu stryjowi za jego dobroć; cieszy mię to, że opuszczę Warszawę, potrzebowałem tego. Żegnaj pania i panów. (*bierze rękę Augusta ostrożnie i wciska mu bilet*) Bądź zdrow, unoszę ze sobą niejakię prawa do twojego szacunku, (*do p. Rościckiej*) a milczeniem mojem mam nadzieję kiedyś i na jej przyjaźń zasłużyć. (*odchodzi*)

- ROŚCICKI. (*za odchodzącym*)

Ah jesteś nazbyt dobrym. No mój kochany Auguste, spodziewam się, że jesteś kontent i ja toż samo, zostaję tu spokojny, widząc ciebie na jego miejscu.

ADELA. (*z wzruszeniem*)

Ty zostajesz!

AUGUST.

Mogłoby to być, przyjmujesz?

ROŚCICKI.

Czy przyjmuję, ah do kroćset czartów! jesteś moim przyjacielem, ja twoim, a więc ta piękna posada, to pomieszkanie obok twojego, te gratyfikacje, wszystko mogę przyjąć bez obawy.

WAGOMIR.

A zatem mój siostrzan wyjedzie!

ADELA.

Nie bynajmniej; może się starać o miejsce se-

kreterza, gdyż mogę powiedzieć śmiało, mój mąż nie przyjmie tego urzędu.

ROŚCICKI. (*ściskając za rękę Augusta*)

I owszem, przyjmuję z ochotą, i nie odstąpię go nikomu, przysięgam, choćbym się miał dać w sztuki posiekać.

A D E L A.

Mężu, pamiętasz naszą umowę... wracajmy do Końskich!

A U G U S T.

Panibys żądała... panie Rościcki!..

ROŚCICKI. (*puszczając z wolna rękę Augusta i wpatrując się w niego*)

Czy tak!... i drugi?...

W A G O M I R.

To szczególnie!

R O Ś C I C K I.

Ułożyliśmy się, zonko... więc to i ten... miał śliczny zamiar?...

A D E L A.

Mój mężu, bez wyjaśnień, ani słowa więcej; przyczyny bardzo ważne...

R O Ś C I C K I.

Najważniejsze... bardzo dziękuję za urząd... (*do Augusta*) i za to wszystko co kiedyś z jego hojnej dobroci otrzymać miałem.

A D E L^{LA}.

Wracajmy do Końskich.

AUGUST. (*n. s.*)

Zadnej nadziei.

WAGOMIR. (*patrzac na Augusta*)

Sądzę, że się pomylił.

ROŚCICKI. (*patrzac na Augusta*)

J ja toż samo. Jedźmy zono do Końskich, że-
gnam cię urzędzie! byłbyś mię drogo kosztował.

W A G O M I R.

A jeżeli raz jeszcze starać się będziesz o nie-
go, pamiętajże sam przyjechać.

KONIEC KOMEDJI I TOMU DRUGIEGO.

*Exemplarzy nieopatrzonych moją cyfrą
wnie poszukiwać będą.*



**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 71
Tel. 26-68-63**

1.
22.963
2